

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA
PORWANEGO
WIELORYBA**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: DOROTA KRAŚNIEWSKA)

Słowo wstępne Alfreda Hitchcocka

Witam Was. Nazywam się Alfred Hitchcock...

O mało mi się nie wymknęło: “tu mówi Alfred Hitchcock”. Ale przecież nie mówię do Was, lecz piszę na moim nowym edytorze tekstu. To taki komputer z klawiaturą, jak w maszynie do pisania, i z pamięcią do przechowania tego, co napiszę.

Historia, którą zaraz przeczytacie - a przynajmniej mam nadzieję, że ją przeczytacie - nie ma nic, ale to nic wspólnego z moją osobą. Dotyczy ona moich młodych przyjaciół, Trzech Detektywów, jak sami siebie nazywają. Najlepiej więc będzie, jeśli Wam ich przedstawię.

Trzej Detektywi to chłopcy z małej miejscowości Rocky Beach leżącej na południowym wybrzeżu Kalifornii, niedaleko Hollywoodu.

Jupiter Jones, ich przywódca, jest raczej niski i uważa, iż ma lekką nadwagę. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że jest puciołowaty, a nawet gruby. Jupiter ma przenikliwy umysł i konsekwentnie dąży do wyjaśnienia wszystkich spraw, które go zainteresują. Ma też bez porównania więcej pewności siebie niż ja w jego wieku. Niektórzy mogliby wręcz uznać, iż ma jej zbyt wiele. Lecz ja bardzo lubię Jupe'a - jak nazywają go koledzy. I może jeszcze tylko dodam, iż Jupe jest przekonany o swojej nieomyślności. Hmm... no cóż, w gruncie rzeczy ma rację.

Pete Crenshaw, Drugi Detektyw, jest najbardziej wysportowany z całej trójki. Lubi baseball i pływanie. Stale pracuje nad swoją formą i rezultaty tego są widoczne. Chętnie uczestniczy w dochodzeniach prowadzonych przez Trzech Detektywów, lecz w przeciwieństwie do Jupe'a, stara się unikać niebezpiecznych sytuacji.

Bob Andrews, Trzeci Detektyw, odpowiada za dokumentację i zbieranie materiałów. Bystry, pracowity i wrażliwy, jest także urodzonym reporterem. Zawsze ma ze sobą notes, w którym zapisuje wszystkie informacje zdobyte przez detektywów.

Skoro już poznaliście moich przyjaciół, zostawiam Was z nimi sam na sam. Zobaczycie, w jaki sposób rozwiązali tajemnicę porwanego wieloryba.

Mam nadzieję, że nie będziecie się nudzić i bez trudu przeczytacie tę historię do samego końca. Czytanie jest przecież o wiele łatwiejsze od pisania, nawet przy pomocy edytora tekstu. Ułóżcie się teraz wygodnie. I - jak mawiał Król Kier z “Alicji w Krainie Czarów” - trzeba tylko zacząć od początku, dojść do końca i wtedy się zatrzymać.

Alfred Hitchcock

Rozdział 1

Na ratunek

- Spójrzcie, o tam! - wykrzyknął Bob Andrews. - Znow puszczą fontanny!

Podeksytowany, wskazywał na morze. Rzeczywiście, trzy lub cztery mile od brzegu wynurzył się na powierzchnię ogromny, podłużny kształt. Na jego grzbiecie ukazał się wodny pióropusz, który jak fontanna rozprysnął się na wszystkie strony. Po chwili wielki, szary wieloryb zniknął w głębinach oceanu.

Trzej Detektywi, Jupiter Jones, Pete Crenshaw i Bob Andrews stali na nadbrzeżnych skałach. Był pierwszy dzień wiosennych ferii. Wstali wcześniej rano i pojechali na rowerach nad ocean w nadziei, że uda im się dojrzeć przepływające wieloryby.

Co roku, w lutym i w marcu, tysiące tych ogromnych stworzeń przemieszcza się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku od Alaski aż po Meksyk. I tam, przy wierzchołku Półwyspu Meksykańskiego, w ciepłych lagunach Dolnej Kalifornii przychodzą na świat ich młode.

Potem, przez kilka tygodni wieloryby odpoczywają, aby nabrać sił przed liczącą ponad pięć tysięcy mil podróżą z powrotem na północ, gdzie spędzają lato. Żywią się maleńkimi krewetkami i planktonem, od których aż roi się w wodach Arktyki.

- Nikt tak naprawdę nie wie, w jaki sposób docierają na północ - zauważył Bob.

Bob Andrews dorabiał sobie, pomagając w bibliotece w Rocky Beach, małej nadmorskiej miejscowości, w której mieszkali Trzej Detektywi. Poprzedni dzień spędził na czytaniu o wielorybach.

- Ale dlaczego? - zapytał Pete.

- Jak dotąd, nikt nie był w stanie prześledzić ich drogi - wyjaśnił Bob, zaglądając do swojego notatnika. - Płynąc na południe wszystkie trzymają się razem i łatwo je rozpoznać. Niektórzy ludzie uważają, że w drodze powrotnej rozdzielają się i podróżują Pacyfikiem pojedynczo lub parami.

- To całkiem możliwe - stwierdził Pete Crenshaw. - Dzięki temu trudniej je zauważyć. A co ty sądzisz, Jupe?

Pierwszy Detektyw zdawał się nie słyszeć. Nie patrzył nawet na morze, gdzie właśnie wynurzył się drugi wieloryb, wypuszczając fontannę wody. Jupe wpatrywał się w leżącą pod nimi opuszczoną zatoczkę. Tydzień wcześniej silny sztorm pozostawił na plaży kawałki drewna, plastikowe opakowania o dziwnych kształtach i stopy wodorostów.

- Wydaje mi się, że tam coś się rusza - odezwał się Jupe zaniepokojony. - Chodźmy.

Zsunął się z urwiska i pochylony, co sił w nogach pognał nad wodę. Pete i Bob poszli w jego ślady.

Odpływ odkrył już połowę plaży. Chłopcy biegli kilka minut, aż wreszcie Jupiter stanął i lekko dysząc, wskazał coś leżącego w wodzie parę jardów od brzegu.

- To wieloryb! - krzyknął Pete.

Jupiter skinął głową.

- Wieloryb wyrzucony na brzeg przez duże fale. A raczej zostanie za chwilę wyrzucony, jeśli się nie pospieszymy.

Trzej Detektywi zdjęli szybko buty i skarpetki. Zostawili je na suchym piasku, podwinęli nogawki i weszli do wody.

Wieloryb był bardzo mały. Miał zaledwie dwa jardy długości. Bob stwierdził, że to pewnie dziecko, które odłączyło się od matki podczas sztormu.

Woda wciąż się cofała i kiedy chłopcy podeszli do rzucającego się stworzenia, nadal sięgała im do kostek. Wyszło im to na dobre, ponieważ poranek był chłodny, a ocean - lodowaty. Wielorybowi tak niski poziom wody uniemożliwił powrót na otwarte morze.

Trzej Detektywi próbowali go ciągnąć i popychać. Usiłowali go nawet podnieść, lecz okazał się zadziwiająco ciężki, jak na swoje rozmiary, a do tego jego ubite ciało było śliskie jak lód. Mogli go uchwycić jedynie za ogon lub płetwy, ale bali się, że jeśli zrobią to za mocno, skrzywdzą małego wieloryba.

Tymczasem malec nie wydawał się ani trochę przestraszony. Jakby rozumiał, że usiłują mu pomóc. Przyjaznym okiem patrzył, jak starają się utrzymać go na wodzie z dala od piaszczystego dna.

Bob pochylił się nad wielorybem, próbując go objąć, i wtedy zwrócił uwagę na nozdrza znajdujące się na czubku głowy. Przypomniał sobie, co wyczytał w bibliotece o szarych wielorybach, i doszedł do wniosku, że błędnie wziął go za młodego wieloryba, który odłączył się od matki.

Właśnie miał o tym powiedzieć Juve'owi i Pete'owi, gdy nagle wyjątkowo silna fala zbiła ich wszystkich z nóg. Kiedy się pozbierali, woda opadła i teraz ledwie zakrywała im stopy. Małego wieloryba fala rzuciła jeszcze dalej w głąb lądu i leżał bezradny na piasku.

- O, rany - jęknął Pete. - Teraz to go wyrzuciło na dobre. A odpływ jeszcze się nie skończył.

Bob skinął ponuro głową.

- Dopiero za jakieś sześć godzin woda podniesie się na tyle, by wieloryb mógł odpłynąć.

- Czy uda mu się przeżyć na suchym lądzie tak długo? - spytał Pete.

- Obawiam się, że nie. U tych zwierząt odwodnienie organizmu następuje dość szybko. Ich skóra całkiem wysycha. - Bob pochylił się i delikatnie pogłaskał wieloryba po głowie. Bardzo było mu go żal. - Jeśli zaraz nie wymyślimy jakiegoś sposobu, by go przetransportować do wody, to będzie po nim.

Wieloryb, jakby rozumiejąc słowa Boba, otworzył szeroko oczy i popatrzył na niego smutnym i pełnym rezygnacji spojrzeniem. Tak się przynajmniej chłopcu zdawało. Po chwili zmrużył oczy i wolno je zamknął.

- Przetransportować do wody? - zapytał Pete. - W jaki sposób? Nie mogliśmy go ruszyć nawet wtedy, gdy był jeszcze zanurzony do połowy.

Bob przyznał mu w myśli rację. Spojrzał na Jupe'a. Uświadomił sobie, że przez cały czas Pierwszy Detektyw nie wymówił ani słowa. To było całkiem do niego niepodobne. Zwykle właśnie Jupe proponował rozwiązania trudnych sytuacji. Jupiter Jones choć nic nie mówił, myślał intensywnie. Skubał dolną wargę kciukiem i palcem wskazującym, jak zawsze, gdy się nad czymś głęboko zastanawiał.

- Jeśli Mahomet nie może przyjść do góry - mruknął - góra przyjdzie do Mahometa.

- Mógłbyś się wyrażać po ludzku? - obruszył się Pete. - Jaka góra?

Jupe dość często mówił zagadkami i dwaj pozostali detektywi nie zawsze rozumieli, do czego zmierzał.

- To nasza góra - wyjaśnił Jupiter. - A tam jest ocean. Gdybyśmy mieli łopatę i-i-i... brezent. Przydałaby się też ta stara ręczna pompa, którą wuj Tytus kupił w zeszłym miesiącu, i porządny, gumowy wąż...

- Moglibyśmy wykopać duży dół - przerwał mu Bob.

- I wyłożyć go brezentem - dodał Pete.

- I napompować do niego wody - dokończył Jupiter. - W ten sposób powstałaby mała sadzawka, w której wieloryb mógłby przetrwać do następnego przypływu.

Po krótkiej naradzie zdecydowali, że Bob z Pete'em wrócą do składu złomu Jonesów po sprzęt, a Jupe zostanie z wielorybem.

Kiedy koledzy odjechali, Jupiter rozejrzał się po plaży i wśród szczątków różnych przedmiotów wyrzuconych na brzeg dostrzegł poobijane plastikowe wiadro nadające się jeszcze do noszenia wody. Czekał na powrót przyjaciół, nosił wodę z oceanu i polewał nią wieloryba.

Pierwszy Detektyw nigdy nie przepadał za wysiłkiem fizycznym. Wolał wysilać swój mózg.

- Najwyższa pora - mruknął zniecierpliwiony na widok kolegów, choć zjawili się nadspodziewanie szybko.

Przywieźli wszystko, o co prosił: grubą belę brezentu, ręczną pompę, ostrą łopatę i gumowy wąż.

- Trzeba kopać jak najbliżej wieloryba - zarządził Jupiter - żeby udało nam się zepchnąć go potem do sadzawki.

Pete, najsilniejszy z całej trójki, kopał najdłużej. Na szczęście mokry piach łatwo ustępował pod łopatą. W niespełną godzinę wykopali dół długości trzech jardów, szeroki i głęboki na prawie dwie stopy.

Wyłożyli go brezentem, żeby nie przepuszczał wody. Pete zaczął pompować wodę z oceanu, a Bob i Jupe trzymali gruby wąż, kierując strumień wody do sadzawki. Pompa okazała się bardzo dobra. Kiedyś pewnie używano jej na jakimś kutrze rybackim. Wkrótce sadzawka była pełna.

- A teraz najtrudniejsza sprawa - powiedział Jupiter.

- Co ty powiesz? - odparł Pete. - Mam nadzieję, że to oznacza, iż trochę nam pomożesz.

Jupiter zignorował tę uwagę. Uznał, że i tak wykonał dziś znacznie więcej, niż do niego należało. A przede wszystkim był autorem tego pomysłu.

Po chwili odpoczynku Trzej Detektywi ustawili się wzdłuż boku wieloryba i zaczęli na niego napierać z całych sił. Nadal leżał z zamkniętymi oczami i ani drgnął. Bob poklepał go po głowie. Wieloryb natychmiast otworzył oczy i Bob mógłby przysiąc, że uśmiechnął się do niego.

- A teraz uważajcie, zaczynamy na raz, dwa, trzy - komenderował Jupiter. - Gotowi? Wszyscy razem...

Nim zdążył dokończyć, nastąpiło coś nieoczekiwanego. Kiedy chłopcy natężali wszystkie siły, by przesunąć wieloryba, ten, jakby chcąc im pomóc, wyrzucił konwulsyjnie całe ciało do góry, przekreślił się w powietrzu i wylądował na grzbiecie w sadzawce.

- O, rany! - krzyknął Bob. Jupe i Pete też byli zachwyceni.

Kiedy tylko wieloryb znalazł się w wodzie, przekreślił się na brzuch i zanurzył się cały. Powrót do naturalnego środowiska sprawił mu wyraźną rozkosz. Po chwili znowu się ukazał, a z jego grzbietu trysnął strumień wody, jakby chciał w ten sposób podziękować chłopcom.

- Kiedy tylko nadejdzie przyływ... - zaczął Jupiter.

- Mniejsza o przyływ - przerwał mu Pete. - Już pewnie dziewiąta! Obiecaliśmy

przecież, że popracujemy dziś rano w składzie złomu. A ja nawet nie zjadłem jeszcze śniadania.

Wuj Jupitera, Tytus Jones, wraz ze swoją żoną Matyldą prowadził na przedmieściach Rocky Beach skład złomu. Trzej Detektywi często w nim pracowali. Sortowali i naprawiali stare meble, metalowe sprzęty i najprzeróżniejsze kawałki złomu skupowane przez wujka Tytusa.

Pożegnali się pospiesznie z wielorybem.

- Uważaj na siebie i polewaj się wodą - nakazał mu Bob. - Wrócimy tu po południu, żeby zobaczyć, jak odpływasz.

Włożyli skarpetki i tenisówki. Wzięli pompę, łopatę, gumowy wąż i szybko wdrapali się na urwisty brzeg. Mieli właśnie wsiąść na rowery, kiedy Jupiter zwrócił uwagę na dźwięk dochodzący od strony morza.

Jakieś dwie mile od brzegu przepływał stateczek. Na jego pokładzie widać było sylwetki dwóch mężczyzn. Zbyt wielka odległość uniemożliwiła rozpoznanie ich twarzy.

Nagle Jupe dostrzegł błyski dochodzące z łodzi.

- Chyba coś sygnalizują - zauważył Pete.

Pierwszy Detektyw pokręcił przecząco głową.

- To są przypadkowe błyski. Sądzę, że jeden z tych ludzi patrzy przez lornetkę, a promienie słoneczne, odbite w szklach, dają taki efekt.

Takie wyjaśnienie przekonało pozostałych detektywów, lecz Jupiter nie podnosił swojego roweru. Nadal obserwował łódź, która teraz wyraźnie skierowała się w stronę brzegu.

- No, chodź już - ponaglił go Pete. - Przestań wszędzie doszukiwać się tajemnic. Każdego dnia tysiące ludzi wypływa na morze wzdłuż tego wybrzeża, żeby obserwować szare wieloryby.

- Owszem, wiem o tym - odparł Jupe, kiedy prowadzili rowery w stronę drogi. - Tylko że ten człowiek na łodzi wcale nie obserwował wielorybów. Jego lornetka skierowana była w zupełnie innym kierunku.

W gruncie rzeczy jestem niemal pewien, że to my byliśmy obiektem jego obserwacji.

- Być może zauważył, jak próbujemy ratować wielorybka - stwierdził Bob obojętnie i Jupe nie podejmował więcej tego tematu.

Kiedy dotarli do składu złomu, ciotka Matylda już na nich czekała. Była kobietą łagodną i serdeczną, zadowoloną z życia w małej, nadmorskiej miejscowości i z prowadzenia

wraz z mężem składnicy złomu. Bardzo się ucieszyła, kiedy po śmierci rodziców Jupe'a chłopiec zamieszkał razem z nimi. Lecz tym, co sprawiało jej największą radość, było zaganianie detektywów do pracy.

- Spóźniliście się - powitała ich, kiedy wjechali na rowerach na teren składu złomu. - Pewnie znów zajmowaliście się rozwiązywaniem jakichś rebusów.

Jupiter nie wyjawiał ciotce, jak dotąd, że on, Bob i Pete są prawdziwymi detektywami i poważni ludzie zlecają im prawdziwe dochodzenia. Ciotka Matylda sądziła, iż chłopcy należą do klubu, w którym rozwiązuje się zagadki i rebusy drukowane w pismach.

Przepracowali uczciwie kilka godzin, po czym ciotka zawołała ich na obiad i dała wolne na resztę popołudnia.

Wrócili nad zatoczkę koło trzeciej. Przyptyw nadchodził bardzo szybko. Zostawili rowery na skraju urwistego brzegu i pospiesznie zeszli na plażę.

Pete, najszybszy z całej trójki, pierwszy dobiegł do sadzawki i stanął nad nią jak wryty.

Kiedy Jupiter i Bob dołączyli do niego, również całkiem osłupieli.

Wykopana przez nich sadzawka nadal pełna była wody. Lecz to było wszystko, co w niej znaleźli.

Mały wieloryb zniknął!

Rozdział 2

“Świat Oceanu”

- Może udało mu się wyskoczyć z sadzawki i przeczłgać jakimś cudem do wody - powiedział Pete bez przekonania.

- Miejmy nadzieję - odparł Bob. Lecz w jego głosie nie było nadziei. Mały wieloryb musiałby pokonać bardzo długą drogę, aby dotrzeć do wody wystarczająco głębokiej, by w niej pływać.

Jupe milczał. Odsunął się nieco od sadzawki i zaczął krążyć wokół niej, wpatrując się w piasek.

- Ciężarówka - powiedział zamyślony. - Z napędem na cztery koła. Nadjechała plażę od strony drogi. Do sadzawki podjechała tyłem. Stała przy niej raczej długo, ponieważ koła dość głęboko zapadły się w miękki piach. Pod przednie trzeba było podłożyć deski, żeby mogła ruszyć z miejsca. Potem odjechała drogą.

Jupe pokazał kolegom plątaninę śladów zostawionych przez samochód i dwa ostre wgłębienia po deskach. Przyznali mu rację. Teraz wszystko wydało im się oczywiste. Przemyslenia Jupe'a miały to do siebie, że kiedy już je wyłożył słuchaczom, to wydawały się oczywiste.

- Może ktoś zawiadomił straż przybrzeżną o zabłąkanym wielorybie i przysłali kogoś na ratunek - powiedział Pete.

- Rozumujesz logicznie - pochwalił go Jupe. Mówił tak zawsze, gdy sam dochodził do podobnego wniosku. - Lecz zastanówmy się, gdzie mogła zadzwonić osoba, która zauważyła na plaży wieloryba pływającego w sztucznej sadzawce?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę rowerów. Pete i Bob zwinęli brezent i podążyli za Pierwszym Detektywem.

- “Świat Oceanu” - odpowiedział Jupiter na własne pytanie pół godziny później. - Pewnie tam właśnie zadzwoniłaby taka osoba.

Trzej Detektywi siedzieli w swojej Kwaterze Głównej w składnicy złomu. Mieściła się ona w starej przyczepie samochodowej, którą wuj Tytus kupił dawno temu, lecz nie znalazł nikogo, kto chciałby ją odkupić. Z czasem stosy różnorodnego złomu, porządnie ułożonego wokół przyczepy, całkiem ją zakryły. A chłopcy dostawali się do niej sekretnym przejściem.

Wewnątrz urządzili sobie laboratorium, ciemnię fotograficzną i biuro, w którym

ustawili małe biurko i starą szafkę na dokumenty. Założyli też telefon, który opłacali z pieniędzy zarobionych w składzie złomu.

- "Świat Oceanu" - powtórzył Jupiter. Siedział na obrotowym krześle i przeglądał rozłożoną na biurku książkę telefoniczną. Znalazł numer i wykręcił go.

Do telefonu podłączony był głośnik i wszyscy chłopcy usłyszeli najpierw sygnał, a potem męski głos.

- Dziękujemy za telefon do "Świata Oceanu" - powiedział głos z taśmy magnetofonowej. - "Świat Oceanu" znajduje się przy nadbrzeżnej autostradzie na północ od Kanionu Topanga.

Jupe zniecierpliwiony słuchał dalszych informacji o cenie wstępu, o porach poszczególnych pokazów organizowanych w akwarium na wolnym powietrzu. Ożywił się dopiero pod koniec nagrania.

- "Świat Oceanu" otwarty jest od wtorku do niedzieli od godziny dziesiątej do osiemnastej - mówił męski głos. - Codziennie oprócz poniedziałków możesz...

Jupe odłożył słuchawkę.

- Ale mamy szczęście - odezwał się Pete. - Dzwonimy akurat w ten jeden dzień tygodnia, kiedy akwarium jest zamknięte.

Jupiter skinął głową, ale widać było, że błądzi gdzieś myślami. Miał skupiony wyraz twarzy i jak zwykle w takich chwilach, podskubywał dolną wargę.

- I co teraz? - spytał Bob. - Próbujemy jutro?

- To zaledwie kilka mil stąd - powiedział Jupe. - A może wybierzemy się tam jutro na rowerach i obejrzymy sobie to miejsce?

Następnego dnia o dziesiątej Trzej Detektywi zostawili rowery na parkingu przed "Światem Oceanu" i kupili bilety przy wejściu. Jakiś czas spacerowali alejkami ogromnego akwarium. Zatrzymali się dłużej przy lwach morskich i pingwinach bawiących się w dużym otwartym basenie. W końcu Bob dojrzał na białym budynku napis ADMINISTRACJA.

Jupe zapukał do drzwi.

- Proszę - rozległ się miły głos i Trzej Detektywi weszli do środka. Za biurkiem stała dziewczyna w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym. Była bardzo opalona. Miała dość krótkie, ciemne puszyste włosy. Przewyższała wzrostem detektywów. Miała szerokie, silne ramiona i wąskie biodra. Patrząc na jej smukłe, giętkie kształty, odnosiło się wrażenie, że, jak ryba, lepiej czuje się w wodzie niż na suchym lądzie.

- Witam was, jestem Constance Carmel. W czym mogę wam pomóc?

- Chcielibyśmy zawiadomić o małym wielorybie wyrzuconym na brzeg - powiedział

Jupe. - A przynajmniej był tam do chwili, kiedy zrobiliśmy dla niego sadzawkę...

Opowiedział, co się wydarzyło w zatoczce poprzedniego dnia, i skończył na tym, jak odkryli, że uratowany przez nich wieloryb zniknął.

Constance Carmel słuchała, nie przerywając.

- I to wszystko zdarzyło się wczoraj? - zapytała wreszcie.

Bob skinął głową twierdząco.

- Wczoraj mnie tu nie było - powiedziała dziewczyna. Odwróciła się do chłopców tyłem i sięgnęła po maskę do nurkowania. - W poniedziałki większość personelu nie pracuje.

- Przez chwilę zastanawiała się nad czymś, szarpiąc pasek od maski. - Ale gdyby przywieziono do "Świata Oceanu" jakiegoś zabłąkanego wieloryba, dziś rano natychmiast powiadomiono by mnie o tym.

- To znaczy, że nie przywieziono go tutaj? - zapytał Bob z rozczarowaniem w głosie.

Potrząsnęła głową, wciąż szarpiąc gumowy pasek.

- Przykro mi, ale nie. Obawiam się, że w niczym nie mogę wam pomóc.

- No, cóż. Dziękujemy mimo wszystko - powiedział Pete.

- Naprawdę mi przykro - powtórzyła Constance Carmel. - A teraz muszę was przeprosić. Będę miała pokaz.

- Gdyby pani o czymś usłyszała... - Jupe wyjął z kieszeni wizytówkę i wręczył ją dziewczynie.

Była to jedna z ich służbowych wizytówek, które Jupiter wydrukował osobiście na starej maszynie drukarskiej stojącej w składzie złomu.

Wyglądała następująco:

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja i analizy Bob Andrews

Pod spodem był też podany numer telefonu do Kwatery Głównej.

Ludzie zazwyczaj pytali, co oznaczają trzy znaki zapytania. Jupe odpowiadał wtedy, że oznaczają one nie rozwiązane tajemnice i zagadki bez odpowiedzi.

Constance Carmel nie rzuciła nawet okiem na wizytówkę i bez słowa położyła ją na biurku.

Trzej Detektywi odwrócili się do drzwi. Pete otworzył je. W tym momencie dziewczyna podeszła do chłopców i zapytała:

- Więc aż tak bardzo wam zależy na tym wielorybie-pilocie czy też szarym wielorybie lub czymś w tym rodzaju?

Bob potwierdził.

- Więc nie martwcie się - pocieszyła ich. - Jestem pewna, że wszystko jest w porządku. To znaczy, chciałam powiedzieć, że na pewno ktoś go uratował.

Po wyjściu ze "Świata Oceanu" Trzej Detektywi poszli po rowery i klucząc pomiędzy stojącymi na parkingu samochodami, ruszyli w stronę głównej drogi.

Bob i Pete byli raczej przygnębieni niepowodzeniem misji, lecz Jupiter wydawał się wręcz zadowolony. Na jego twarzy pojawił się charakterystyczny uśmiezek, jak zawsze wtedy, gdy wyczuwał, iż Trzej Detektywi są na tropie nowej, interesującej sprawy.

- No dobra, Jupe. Może nam wreszcie powiesz, czemu ci tak wesoło? - nie wytrzymał Pete.

Doszli właśnie do wyjazdu z parkingu. Jupe oparł rower o niski murek. Pozostali dwaj zrobili to samo. Wiedzieli od razu, że Pierwszy Detektyw będzie teraz mówił.

- Przyjrzyjmy się bliżej faktom - zaczął. - Każdy, kto wczoraj zadzwonił do "Świata Oceanu", usłyszał to samo nagranie, co my.

- Nie mógł więc zgłosić znalezienia wieloryba - dokończył Pete.

- Owszem, pod warunkiem, że nie zadzwonił bezpośrednio do domu Constance Carmel - stwierdził Jupe.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał Bob.

- Ponieważ, kiedy opowiadaliśmy jej o wielorybie, nie była ani trochę zdziwiona. Słuchała tylko i zadała zaledwie jedno pytanie, na które i tak już odpowiedzieliśmy wcześniej.

- To znaczy, kiedy to się stało, tak?

- No właśnie. Skłonny jestem twierdzić, że zadała je tylko po to, by podkreślić, że wczoraj nie było jej w akwarium i w związku z tym nie mogła mieć nic wspólnego z naszym wielorybem. Zauważcie, że zaraz potem wychodziła ze skóry, żeby nas uspokoić, iż wieloryb jest bezpieczny. Powiedziała, iż jest pewna, że szary wieloryb został uratowany.

- Wcale tak nie powiedziała - wtrącił Bob i jednocześnie uświadomił sobie coś, co od poprzedniego dnia nie dawało mu spokoju. - Powiedziała: "wieloryb-pilot lub szary wieloryb lub coś w tym rodzaju".

- Może zrobiła to celowo, żebyśmy się nie domyślili, iż ma z tą sprawą coś wspólnego

- stwierdził Pete.

- Nie zrobiła tego celowo - Bob tak był przekonany o swojej racji, że aż podniósł głos.

- Myślę, że wymknęło jej się to niechcący, i miała rację. To wcale nie był szary wieloryb. Szare wieloryby mają dwa otwory przypominające nozdrza, i dlatego właśnie, kiedy wydychają przez nie wodę, tworzy się mała fontanna. Nasz wieloryb miał tylko jeden otwór. Zwróciłem na to uwagę, kiedy próbowaliśmy zepchnąć go do morza. Woda strzelała w górę tylko jednym strumieniem.

Dwaj pozostali detektywi przyglądali mu się zdumieni.

- A więc jakiego wieloryba uratowaliśmy? - zapytał Pete.

- Jestem przekonany, że to był młody wieloryb-pilot, który przez przypadek dołączył się do szarych wielorybów przemierzających Pacyfik.

- I Constance Carmel też o tym wiedziała - dodał Jupe zamyślony.

- To bardzo logiczne rozumowanie, Bob. A więc, podsumujmy. Mamy tu jednego zabłąkanego wieloryba, który zostaje porwany, i pracowniczkę "Świata Oceanu", która twierdzi, że nic o nim nie wie. Lecz wszystko wskazuje na to, że jednak coś wie...

Jupe przerwał, ponieważ rozległ się za nimi ostry klakson. Trzej Detektywi musieli ratować się skokiem przez murek. Biały pikap przemknął koło nich i skręcił z piskiem opon na nadbrzeżną autostradę.

Mimo iż mknął z dużą prędkością, Trzej Detektywi zdołali rozpoznać kierowcę - Constance Carmel. Minęło zaledwie pięć minut od chwili, kiedy wyprosiła ich z pokoju twierdząc, iż ma pokaz w akwarium.

Musiało się wydarzyć coś nieoczekiwanego.

Ale co?

- A może my jesteśmy tą przyczyną - mruknął Jupiter zamyślony. - Może to, co powiedzieliśmy, wprowadziło ją w taki pośpiech.

Rozdział 3

Sto dolarów nagrody

- Może faktycznie Constance Carmel okłamała nas - stwierdził Pete. - Ale to jeszcze niczego nie dowodzi.

Było późne popołudnie. Po wycieczce do "Świata Oceanu" Bob miał trochę pracy w bibliotece, Pete jakieś obowiązki domowe, a Jupe pomagał w składzie złomu. Kiedy tylko Trzej Detektywi skończyli swoje zajęcia, spotkali się ponownie w Kwaterze Głównej.

- W końcu - kontynuował Pete - kiedy pytamy o coś dorosłych, tu zakładamy, że i tak nie powiedzą nam całej prawdy...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Jupe podniósł słuchawkę.

- Halo - rozległ się męski głos w głośniku przymocowanym do telefonu. - Chciałbym mówić z panem Jupiterem Jonesem.

- Przy aparacie.

- O ile wiem, był pan dziś w "Świecie Oceanu" i wypytywał o zaginionego wieloryba.

Mężczyzna mówił z dziwnym akcentem. Bob pomyślał, że pochodzi pewnie z Missisipi lub z Alabamy. Nie znał osobiście nikogo z tych stanów, lecz często ludzie z Południa, którzy występowali w telewizji, mieli taki właśnie akcent.

- Owszem, zgadza się - odparł Jupiter. - Czym mogę panu służyć?

- O ile też wiem, jest pan swojego rodzaju prywatnym detektywem.

- To też się zgadza. Jesteśmy Trzema... - zaczął Jupe.

- Wobec tego, może zainteresuje was ta sprawa. Płacę sto dolarów za odnalezienie wieloryba i wpuszczenie go z powrotem do oceanu.

- Sto dolarów! - Bob aż sapnął.

- Zgadzacie się?

- Z przyjemnością - odparł Jupe, sięgając po notatnik i ołówek. - Może zechce pan podać swoje nazwisko i numer telefonu...

- To świetnie - przerwał mu mężczyzna. - Bierzcie się od razu do roboty, a ja odezwę się za kilka dni.

- Ale... - zaczął Jupiter.

W głośniku rozległ się dźwięk odkładanej słuchawki.

- Sto dolarów! - powtórzył Bob.

Choć Trzej Detektywi mieli już wielu klientów i rozwiązyali wiele ciekawych zagadek,

nikt, jak dotąd, nie zaoferował im za pomoc aż stu dolarów.

Jupe powoli odłożył słuchawkę. Rozmyślał intensywnie nad dopiero co zakończoną rozmową.

- Człowiek dzwoni i proponuje nam nagrodę, ale nie podaje swojego nazwiska. Nie mówi też, w jaki sposób zdobył numer naszego telefonu. - A do tego wie, że byliśmy dziś rano w "Świecie Oceanu"... - Jupe przerwał i zaczął skubać wargę.

- I co z tego, do pioruna! - zirytował się Pete. - Chyba nie zamierzasz się wycofać? To jest sto dolców!

- Oczywiście, że nie. Pomijając już wysokość nagrody, ten tajemniczy telefon jeszcze bardziej rozbudził moją ciekawość. Pozostaje tylko pytanie, jak się do tego zabrać? - Jupe zastanawiał się przez chwilę, a następnie sięgnął po książkę telefoniczną.

- Constance Carmel. To, jak dotąd, nasz jedyny punkt zaczepienia. Zaczął kartkować książkę, aż trafił na "C". Znalazł trzy osoby o tym nazwisku: Carmel Arturo; Carmel Benedykt i Carmel Diego: WYNAJEM ŁODZI - POŁÓW RYB. Constance Carmel nie figurowała w spisie.

Jupe zaczął od Artura. Po trzech sygnałach odezwała się centrala, informując, że telefon Artura Carmela został odcięty.

Numer Benedykta Carmela długo nie odpowiadał. W końcu jakiś łagodny głos poinformował Jupitera szeptem, że brat Benedykt jest, co prawda, w klasztorze, lecz nawet gdyby podszedł do aparatu, to na niewiele by się to zdało, gdyż właśnie złożył śluby milczenia przez następne sześć miesięcy. W tej sytuacji Benedykt został wyłączony z dalszego dochodzenia. W Przedsiębiorstwie Rybackim Diega Carmela nikt nie podnosił słuchawki.

- Wiemy przynajmniej, gdzie jej szukać - odezwał się Bob. - Przez sześć dni w tygodniu jest w "Świecie Oceanu".

- Wiemy jeszcze coś - dodał Jupiter. - Możemy rozpoznać jej samochód - białego pikapa. - Jupe zmarszczył czoło i przymknął oczy. Wyglądał teraz jak rozzłoszczony, śpiący cherubinek.

- "Świat Oceanu" zamykają o szóstej - dodał Jupe, przypominając sobie nagranie magnetofonowe. - Pewnie Constance Carmel wyjeżdża stamtąd zaraz potem. To robota dla ciebie, Pete. Dziś już jest za późno. Pojedziesz tam jutro.

Pete westchnął. Kiedy tylko potrzebny był ktoś, kto potrafił szybko biegać - na tyle szybko, by wyjść szczęśliwie z opresji - Jupe zazwyczaj uważał, że to zadanie dla Pete'a Crenshawa.

Tym razem jednak Pete nie miał nic przeciwko temu. Coś go pociągało w tej sprawie. I nie była to wcale studolarowa nagroda, lecz myśl o tym, by sprowadzić małego wieloryba tam, gdzie było jego miejsce, by mógł znowu swobodnie pływać w oceanie.

Następnego popołudnia o wpół do szóstej Hans, jeden z dwóch braci rodem z Bawarii, którzy pomagali wujowi Tytusowi w prowadzeniu składu złomu, wysadził Trzech Detektywów obok parkingu przy "Świecie Oceanu". Jupe i Bob zdjęli z ciężarówki swoje rowery.

- Czy aby na pewno sobie poradzicie? - zapytał Hans, drapiąc się po jasnej czuprynie.
- W jaki sposób wrócić we trzech na dwóch rowerach?
- Pete nie potrzebuje dziś roweru - zapewnił go Jupe. - Ktoś znajomy ma go podwieźć.
- OK - Hans wzruszył ramionami i usiadł za kierownicą. - Gdybyście mnie potrzebowali, dzwońcie.

Kiedy tylko odjechał, Trzej Detektywi zaczęli się rozglądać za pikapem Constance Carmel. Znaleźli go bez trudu. Stał w części oznaczonej napisem "Dla personelu" i był tam jedynym białym samochodem. Jupe i Pete podeszli do niego od tyłu, a Bob stał na straży, obserwując wejście do akwarium na wypadek, gdyby niespodziewanie pojawiła się tam Constance Carmel.

Szczęście dopisało chłopcom. Otwarty bagażnik nie był pusty. Znaleźli w nim gąbkę do materaców, jakieś splątane liny i wielki kawał płótna.

Pete wszedł do środka i położył się na metalowej podłodze. Jupe przykrył go kawałkami gąbki i na wierzch narzucił płótno. Zaczynało się ściemniać, lecz nawet w pełnym słońcu nikt nie zauważyłby Pete'a pod tym wszystkim.

- Będziemy się zbierać z Bobem - powiedział Jupe. - Lepiej, żeby Constance Carmel nie zauważyła nas tutaj. Zaczekamy na ciebie w Kwaterze Głównej, dobra?

- Dobra - odparł Pete. - Zadzwoń do was, kiedy tylko będę mógł.

Usłyszał, jak Jupiter zeskakuje z pikapa i jak odgłos jego kroków powoli zanika. Potem przez dłuższy czas nie słyszał niczego poza zapalaniem lub gaszeniem silników przyjeżdżających i odjeżdżających samochodów.

Zachciało mu się spać, gdy nagle dotarł do niego całkiem z bliska jakiś chlupot. Po czym płótno zostało polaną wodą, która zaczęła mu ściekać wprost na twarz. Do tego była to słona woda. Pete zczekał, aż samochód nabierze prędkości po wyjeździe z parkingu, i wtedy wyrzwał ostrożnie na zewnątrz.

Kilka cali od jego twarzy stał wielki, plastikowy pojemnik. Słysząc było, jak chlupocze w nim woda.

Kiedy samochód zatrzymał się na czerwonym świetle, ze środka pojemnika doszedł jeszcze jeden dźwięk, jakby coś trzepotało o plastikowe ściany naczynia.

Ryby, zdecydował Pete. Żywe ryby. I cofnął się do swojej kryjówki.

Przez kilka minut samochód jechał szybko po równej drodze. Pete uznał, że musiała to być nadbrzeżna autostrada. Potem pikap zwolnił i zaczął piąć się pod górę. Czyżby Santa Monica? Pete pamiętał, że do tego miasta jechało się stromą drogą. Później nastąpiło tyle przystanków i zakrętów, że Pete całkiem stracił orientację. Zapadły ciemności i samochód znowu zaczął podjeżdżać meandrującą drogą pod jakąś górę. Pete pomyślał, że pewnie znów są na wzgórzach koło Santa Monica.

W końcu się zatrzymali. Pete usłyszał, jak ktoś otwiera klapę od bagażnika, i na metalowej podłodze rozległo się plaskanie bosych stóp. Wstrzymał oddech. Zachlupotała woda w plastikowym pojemniku. Ktoś podniósł go i znów Pete usłyszał odgłos bosych stóp. Klapa wróciła na swoje miejsce.

Odczekał parę minut i wysunął głowę spod płótna.

Samochód stał przed bogato urządzonym domem. Nad drzwiami frontowymi wisiała lampa oświetlająca betonowe schody. U dołu schodów stała skrzynka pocztowa. Pete'owi udało się odczytać z niej nazwisko właściciela.

SLATER.

Odczekał jeszcze chwilę i ostrożnie wyskoczył z samochodu. Przesunął się bezszelestnie w stronę szoferki i powoli wychylił głowę znad maski pikapa.

W pobliżu nie było nikogo. W gruncie rzeczy tego się właśnie spodziewał. Zdumiało go jednak, że cały dom pogrążony jest w ciemnościach. Paliła się tylko lampa nad drzwiami. Nie wyglądało na to, by Constance Carmel weszła do środka.

Pete uznał, że nie ma sensu sterczeć tu całą noc. Mógł zrobić jedno z dwojga: pójść na najbliższy róg i zapisać nazwę ulicy, a następnie podać ten adres Jupiterowi i Bobowi, lub też spróbować wysledzić, dokąd poszła Constance Carmel i co tam robiła z pojemnikiem żywych ryb.

Miał właśnie pójść na róg i potem rozejrzeć się za budką telefoniczną, gdy nagle w ciemnościach rozległo się kobiece wołanie:

- Fluke! Fluke! Fluke!

Nikt nie odpowiedział.

Pete pewien był, że głos nie dochodzi z głębi domu. Kobieta musiała być na zewnątrz. Może za domem? Dopiero teraz zauważył stromy, betonowy zjazd do garażu przylegającego do lewej strony domu. Obok garażu widać było małą, drewnianą furtkę, a za nią drzewo

palmowe na tle ciemniejącego nieba.

Pete podszedł do furki. Zamknięta była jedynie na zasuwkę. Otworzył ją i zamknął za sobą.

Znalazł się na wybetonowanej ścieżce prowadzącej wzdłuż ciemnej ściany garażu. Pete przykucnął i bardzo wolno i ostrożnie zaczął przerwać się na tyły domu.

- Fluke. Fluke. Dobry Fluke.

Kobięcy głos zabrzmiał teraz całkiem blisko, niemal tuż obok.

Pete zamarł. Z lewej strony, po drugiej stronie trawnika rosła palma, którą dostrzegł z drogi. Z prawej nie było widać niczego. Od ogrodu lub czegoś innego, co było na tyłach domu, dzieliła go ściana garażu. Zebrał całą odwagę i co sił w nogach pobiegł w stronę palmy. Dopadł do niej i schował się za pień. Odetchnął głęboko i ostrożnie wyjrzał zza drzewa. Zobaczył ogromny basen. Poza nim nie było tam niczego innego. Jasno oświetlony przez zewnętrzne i podwodne światła rozciągał się na całą długość domu.

- Fluke. Fluke. Fluke, dobra dziecinka.

Constance Carmel w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym stała na przeciwległym brzegu basenu. Na krawędzi ustawiła plastikowy pojemnik. Pochyliła się i wyjęła z niego żywą rybę. Uniosła ją do góry i trzymała tak przez chwilę, po czym wyrzuciła długim łukiem nad basen. W tym momencie jakiś szary kształt oderwał się od wody. Wzniósł się na całą swoją długość. Zdawało się, że zawisł w powietrzu na kilka sekund. Otworzył pysk i chwycił rybę w locie, po czym zwinnie przekręcił się w powietrzu i zanurkował do basenu.

- Świetnie, Fluke.

Constance Carmel miała na nogach płetwy, a na szyi okulary do nurkowania. Nałożyła je na oczy i skoczyła do wody.

Pete był całkiem niezłym pływakiem. Reprezentował nawet szkołę na zawodach. Lecz nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś pływał tak jak Constance Carmel. Prawie nie poruszała rękami i nogami. Prześlizgiwała się w wodzie tak łatwo i lekko jak szybowiec w powietrzu.

Od razu znalazła się w połowie basenu, gdzie przebywał właśnie mały wieloryb. Pete'owi zdawało się, że przywitali się jak starzy przyjaciele, którzy nie widzieli się od lat. Wieloryb lekko poszturchiwał ją nosem w bok, a ona klepała go po głowie i dotykała jego warg. Zanurkowali razem aż na dno basenu. Dziewczyna płynęła tuż obok wieloryba, obejmując go za głowę. Czasem siadała mu na grzbiecie.

Pete pochłonięty obserwowaniem tej pary, ułożył się wygodnie na trawie za drzewem palmowym i oparł podbródek na rękach. To było lepsze niż kino. Zapomniał o całym świecie.

Constance Carmel zaczęła inną zabawę. Podpłynęła do krawędzi basenu znajdującej

się najbliżej Pete'a. Najpierw poklepała wieloryba po głowie, a potem odwróciła się zwinnie i zaczęła szybko od niego odpływać. Wieloryb podążył za nią. Znowu poklepała go i pokręciła głową, po czym szybko odpłynęła. Tym razem wieloryb został na miejscu, jakby na coś czekał.

Dziewczyna popłynęła na przeciwległy koniec basenu i usiadła na brzegu.

Mały wieloryb wciąż czekał.

- Fluke! Fluke! Fluke! - zawołała.

Wieloryb wynurzył głowę i Pete dostrzegł błysk ożywienia w jego oczach. Nagle, jednym ślizgiem znalazł się przy Constance Carmel.

- Grzeczny Fluke. Grzeczny Fluke.

Dziewczyna dotknęła dłonią jego warg, sięgnęła do pojemnika po rybę i włożyła mu ją do pyska.

- Dobry Fluke. Dobry Fluke.

Znowu poklepała go po głowie, po czym schyliła się, by podnieść coś leżącego w trawie. Choć wnętrze basenu było jasno oświetlone, na zewnątrz panowały ciemności i Pete nie mógł dostrzec, co to było.

Mały wieloryb - Fluke, jak nazywała go dziewczyna - wynurzył się z wody i zdawało się, że stanął na ogonie. Constance Carmel objęła go ramionami i coś robiła przy jego grzbiecie. Pete uniósł nieco głowę znad trawy i wtedy udało mu się dojrzeć, jak dziewczyna zakłada wielorybowi płócienny pas w miejscu, gdzie byłaby szyja, gdyby wieloryby w ogóle ją miały. Mocno ściągnęła pas i spięła go klamrą. Nałożyła mu coś w rodzaju obroży.

Pete przywarł twarzą do trawy.

Szczęknęła zasuwka i ktoś mocno pchnął furtkę, po czym zamknął ją za sobą. Rozległy się coraz bliższe kroki. Pete'owi wydawało się, że ktoś zmierza wprost na niego. Przybysz jednak przeszedł obok i skierował się w stronę basenu.

- Witaj, Constance.

- Dobry wieczór, panie Slater.

Pete nie odważył się podnieść głowy. Uniósł ją tylko lekko znad trawy. Mężczyzna stał obok Constance Carmel na przeciwległym brzegu basenu. Był bardzo wysoki. Ciemności uniemożliwiały rozpoznanie jego twarzy. A jednak nie sposób było nie zauważyć pewnej charakterystycznej cechy jego wyglądu. Pomimo stosunkowo młodego wieku - Pete ocenił go na trzydzieści parę lat - był całkiem łysy. Nawet w półmroku jego gładka, okrągła głowa lśniła jak bilardowa kula.

- Jak wam idzie? - zapytał mężczyzna. - Kiedy będziecie gotowi? - W jego głosie było

coś dziwnego. Mówił wolno, przeciągając sylaby w sposób, który wydał się Pete'owi znajomy.

- Niech pan słucha, panie Slater - Constance spojrzała ostro na mężczyznę. Pete usłyszał w jej głosie wzbierający gniew. – Zgodziłam się panu pomóc ze względu na mojego ojca. Ale będę to robiła na swój własny sposób i w czasie, jaki mi odpowiada. Jak się pan będzie wtrącał, to Fluke wróci do oceanu, a pan poszuka sobie nowego wieloryba i sam będzie go trenował.

Przerwała i spojrzała na Fluke'a.

- Rozumiemy się, panie Slater? - zapytała i wsparta pod boki, znów spojrzała groźnie na mężczyznę.

- Rozumiemy się - odparł z lekkim południowym akcentem.

Rozdział 4

Człowiek z dziwnym okiem

- Czy jesteś pewien, Pete, że to był ten sam głos? - zapytał Jupiter Jones. - Jesteś zupełnie pewien?

Zanim Pete zbiegł ze wzgórza i znalazł stację benzynową, z której mógł zadzwonić do Kwatery Głównej, upłynęło dwadzieścia minut. Tyle samo czasu zajęła Hansowi droga z Rocky Beach do miejsca, gdzie Pete miał na niego czekać. Trzej Detektywi usiedli teraz z tyłu ciężarówki, a Hans wiózł ich z powrotem do domu. Pete opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło od chwili wyjazdu ze "Świata Oceanu". Ułożył się wygodnie na plecach z rękami pod głową i odpoczywał.

- Tak, jestem pewien - odparł znużony. - Oczywiście, nie dałbym za to głowy. Ale te głosy brzmiały niemal identycznie.

Jupiter skinął głową, podskubując dolną wargę. Myśli przebiegały mu przez głowę z szybkością błyskawicy. To wszystko nie miało sensu. Po co łysy mężczyzna miałby oferować im sto dolarów za znalezienie wieloryba, którego trzymał we własnym basenie?

Jupe nie zadał głośno tego pytania. Pomyślał, że powinien przespać się z tym problemem.

Najpierw podrzucili do domu Pete'a, potem Boba. Na końcu Hans podjechał z Jupe'em pod dom Jonesów stojący naprzeciwko składu złomu. Trzej Detektywi umówili się na spotkanie następnego dnia rano.

Bob zjawił się ostatni. Właśnie wychodził z domu, gdy matka zawołała go, żeby pozmywał naczynia po śniadaniu. Teraz ustawił rower w odległym kącie składu, tuż obok warsztatu Jupe'a. Podeszedł do dużego usypiska złomu i przesunął oparty o nie metalowy grill. Ukazało się wejście do wielkiej, zardzewiałej rury. Był to Tunel Drugi. Prowadził pod stosem złomu wprost pod podłogę przyczepy samochodowej, Kwatery Głównej Trzech Detektywów.

Bob uniósł wąż i wspiął się do biura detektywów, gdzie dwaj przyjaciele już na niego czekali.

Jupe siedział przy biurku. Pete rozłożył się wygodnie w starym fotelu na biegunach i oparł nogi o szafkę na dokumenty. Nie odezwali się na jego widok. Bob usiadł na stołku i oparł się o ścianę.

Jak zwykle, pierwszy zaczął mówić Jupe.

Kiedy rozwiązując jakiś problem, dochodzimy do momentu, gdy widzimy przed sobą

już tylko goły mur, to mamy do wyboru dwie możliwości: próbować przebić ten mur głową lub poszukać drogi okrężnej i obejść go - powiedział tonem, który jego przyjaciele dobrze znali. Jupe głośno myślał.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał Pete. - Chciałem powiedzieć... co to oznacza w ludzkim języku?

- To oznacza Diego Carmel - wyjaśnił Jupiter. - Diego Carmel, Wynajem łodzi - Połów ryb.

- No, dobrze. Dzwon do niego - powiedział Bob. - Nie rozumiem, co może go łączyć z naszą sprawą, ale nie zaszkodzi sprawdzić.

- Próbuję się do niego dodzwonić już od śniadania - wyznał Jupe. - Nikt nie podnosi słuchawki.

- Może popłynął na ryby - stwierdził Pete. - Ludzie czasami nie odbierają telefonu, ponieważ nie ma ich w domu.

- A wracając do tego, co on ma wspólnego z naszą sprawą - ciągnął Jupe, ignorując uwagę Pete'a - wiemy, że ktoś telefonował do Constance Carmel w poniedziałek i powiedział jej o zagubionym szarym wielorybie lub wielorybie-pilocie lub czymś w tym rodzaju...

- O Fluke'u - wtrącił Pete. - Nazywaj go Fluke.

- O Fluke'u - zgodził się Jupe. - Nie zadzwonili do "Świata Oceanu", ponieważ tam jej nie było. Nie zadzwonili też do Artura Carmela, ponieważ jego telefon został odłączony.

- I nie zadzwonili do brata Benedykta do klasztoru - dodał Bob.

- Pozostaje ostatni Carmel z książki telefonicznej. Diego Carmel, który mieszka w San Pedro i zajmuje się łowieniem ryb. Być może jest krewnym Constance i właśnie tam zadzwoniono, żeby zostawić dla niej wiadomość.

- Constance Carmel powiedziała, że pomaga Slaterowi ze względu na swojego ojca, zgadza się? - zapytał Bob.

- Owszem - potwierdził Pete. - Może właśnie Diego jest jej ojcem. A może nie jest. Ale nadal nie rozumiem, co on ma z tym wszystkim wspólnego.

- I tu właśnie dochodzimy do gołej ściany - wyjaśnił Jupe. - Constance Carmel i Slater niczego nam nie powiedzą. Ona, w każdym razie, już nas okłamała, a on pewnie zrobiłby to samo. A więc, skoro od nich nie możemy się dowiedzieć niczego, to może dowiemy się czegoś o nich. Zabierajmy się do San Pedro i spróbujmy pogadać z Diego Carmelem... zakładając, oczywiście, że ma on coś wspólnego z Constance.

- A jeśli jest akurat na rybach? - spytał Pete.

- Wtedy porozmawiamy z jego sąsiadami lub z innymi rybakami. Może będą coś

wiedzieli o Constance lub na przykład, czy Diego ma przyjaciela Slatera i czy przypadkiem to nie ich dwóch widzieliśmy na łodzi w zeszły poniedziałek, kiedy ratowaliśmy Fluke'a.

- No, dobrze. - Pete wstał. - Czarno to widzę, ale spróbować nie zaszkodzi. San Pedro, oto nadchodzimy! Ale jak tam dojechać? To ponad trzydzieści mil. Dzwonimy do Worthingtona?

Pete miał na myśli przyjaciela Trzech Detektywów, który pracował w wypożyczalni samochodów "Wynajmij auto i w drogę" i często podwoził chłopców. Okazało się jednak, że Worthington jest na urlopie.

- I co teraz? - zapytał Pete. - Hans i jego brat są zbyt zajęci o tej porze dnia, żeby...

- Pancho - przerwał mu Jupiter i spojrzał na zegarek. - Powinien być tu lada moment.

Pancho był młodym Meksykaninem, którego Trzej Detektywi wybawili z poważnych kłopotów. Policja podejrzewała, że ukradł części samochodowe z warsztatu, w którym pracował.

Miał fiola na punkcie samochodów. Zarabiał na życie, kupując stare graty, rozbierając je na części i robiąc z nich składaki. Na przykład, wyjmował silnik z jednego samochodu, wkładał go do innego, który jeździł na kołach wziętych z trzeciego. Robione przez niego samochody wyglądały jak wzięte wprost z Instytutu Smithsona. Ale Pancho był wspaniałym mechanikiem, a jego składaki tak dobre, że aż z Santa Barbara, a nawet z Berkeley przyjeżdżali studenci, żeby je kupować.

Wdzięczny był Trzem Detektywom, że udowodnili jego niewinność. W przeciwnym razie pewnie siedziałby teraz w więzieniu. I zawsze chętnie ich podwoził, gdy o to prosili.

Chłopcy czekali na niego w składzie złomu. Po paru minutach pojawił się w swoim ostatnim cacku - fordzie-chevrolecie-VW. Wyglądał dziwniej niż większość pojazdów produkowanych przez Pancha. Tylne koła były sporo większe od przednich, tak że samochód pochylał się do przodu. Pete pomyślał, że wygląda jak byk szykujący się do ataku. Był też silny jak byk. Gdy tylko znaleźli się na autostradzie do San Pedro, Pancho wcisnął gaz i samochód przyspieszył do sześćdziesięciu mil na godzinę z taką łatwością, jak wóz wyścigowy.

Pancho szybko znalazł ulicę Świętego Piotra, adres podany w książce telefonicznej przy nazwisku Diega Carmela. Chłopcy wysiedli i umówili się, że Pancho przyjedzie po nich koło trzeciej, kiedy już obejrzy okoliczne sklepy z używanymi samochodami.

Ulica Świętego Piotra znajdowała się koło doków. Stały przy niej obdrapane domki i blaszaki ze sprzętem wędkarskim i żywą przynętą oraz kilka sklepików ze słodyczami i warzywami. Dom Diega Carmela stał mniej więcej w połowie ulicy. Był to trzypiętrowy

budynek wyglądający znacznie porządniej od reszty. Na parterze znajdowało się biuro. W jego oknie widniał napis WYNAJEM ŁODZI - POŁÓW RYB. Jupe dojrzał przez okno, że w środku znajdowało się jedynie biurko z telefonem, kilka drewnianych krzeseł oraz wieszak z mokrymi kombinezonami i sprzętem do nurkowania.

Właśnie kiedy chłopcy mieli otworzyć drzwi, jakiś mężczyzna wyszedł z biura i zamknął je na klucz. Spojrzał na Jupe'a trochę zaskoczony i szybko schował klucz do kieszeni.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

Był wysoki, chudy i przygarbiony. Miał pobrużdżoną zmarszczkami twarz i uważny wzrok. Ubrany był w podniszczony niebieski garnitur i białą koszulę z ciemnym krawatem.

Jupiter wiele się dowiadywał, bacznie obserwując ubranie i wygląd ludzi. Gdyby ktoś go zapytał, czym zajmuje się człowiek w niebieskim garniturze, odpowiedziałby, że pracuje pewnie jako księgowy w małym sklepie. Mógłby też być zegarmistrzem, pomyślał Jupe patrząc na prawe oko mężczyzny. Zauważył pod nim dziwną fałdę skórą, której nie było pod lewym okiem. Wyglądała prawie jak blizna. Albo używał monokla, albo spędzał długie godziny z lupą jubilerską przy oku.

- Szukamy pana Diega Carmela - odpowiedział grzecznie Pierwszy Detektyw.

- Tak? O co chodzi?

- Czy to pan?

- Kapitan Carmel. Do usług.

Mężczyzna wykonał pół obrotu do drzwi. W biurze zadzwonił telefon. Przez chwilę wydawało się, że kapitan Carmel wróci tam, by go odebrać. Ale on tylko wzruszył ramionami i rzekł z rezygnacją:

- To nie ma sensu. Tydzień temu straciłem łódź podczas wielkiego sztormu. Ludzie dzwonią, chcą płynąć na ryby, a ja nie mam dla nich łodzi.

- Bardzo mi przykro - odezwał się Bob. - Nie wiedzieliśmy o tym.

- Czy wy też, chłopcy, wybieracie się na ryby?

Angielski kapitan Carmela był bez zarzutu. Chłopcy nie wychycili w nim śladu obcego akcentu. A jednak słowa dobierał w taki sposób, że czuło się, iż nie jest to jego język ojczysty.

Może pochodzi z Meksyku, pomyślał Bob, ale większość życia spędził w Stanach.

- Nie wybieramy się na ryby. Chcieliśmy tylko porozmawiać z panem, kapitanie. Mamy dla pana wiadomość od córki.

- Od córki? - Kapitan wydawał się nieco zdziwiony. - Och, macie na myśli Constance?

- Tak - odparł Jupe z nie ukrywaną satysfakcją. Jego przeczucie znów się sprawdziło. Kapitan Carmel był ojcem Constance.

- A cóż to za wiadomość?

- Och, to nic aż tak bardzo ważnego. Akurat dziś rano wpadliśmy na nią w "Świecie Oceanu" i prosiła, żebyśmy panu przekazali, że będzie w pracy do późnego wieczora.

- Aha - mruknął kapitan i przyjrzał się chłopcom uważniej, każdemu z osobna. - A wy? Czy nie jesteście przypadkiem Trzema Detektywami?

Pete skinął głową potakująco, zastanawiając się, jak kapitan Carmel mógł ich rozpoznać. Potem przypomniał sobie, że przecież Jupe dał Constance wizytówkę. Pewnie opowiedziała o nich ojcu. Wszyscy trzej - a zwłaszcza Jupe ze swoją pyzată twarzą i okrągłą sylwetką - byli dosyć charakterystyczni.

- Bardzo mi miło was poznać - kapitan Carmel podał każdemu detektywowi rękę i uśmiechnął się. - A co byście teraz wszyscy powiedzieli na hamburgera? Sprzedają je kawałek dalej.

Pete przyjął zaproszenie z podziękowaniem. Musiałyby zająć prawdziwie niezwykle okoliczności, żeby odmówił. Szybko znaleźli małą kafeterię. Hamburgery okazały się świetne. Podczas gdy chłopcy jedli, kapitan Diego Carmel opowiedział im o sztormie i o tym, jak stracił łódź.

Wracał właśnie z połowu w Dolnej Kalifornii z człowiekiem o nazwisku Oskar Slater. Burza zaskoczyła ich kilka mil od brzegu. Robił wszystko, co mógł, by dotrzeć do portu, ale fale były zbyt wielkie. Łódź nabrała wody i zatonała. Kapitan i Oskar Slater mieli dużo szczęścia, że wyszli z tego cało. Kilka godzin płynęli w kamizelkach ratunkowych, aż wreszcie wyłowili ich patrol straży przybrzeżnej.

Pete z Bobem wyrazili mu swoje współczucie i Bob miał właśnie zapytać czy łódź była ubezpieczona, gdy odezwał się Jupe.

- Kapitanie, pańska córka jest znakomitą pływaczką. Tak świetnie sobie radzi z tymi wielorybami.

- Tak. Rzeczywiście. W "Świecie Oceanu".

- Czy od dawna to robi? - zapytał Bob. Widział, że Jupe próbuje wciągnąć kapitana Carmela w rozmowę o córce.

- Od kilku lat.

- Długą drogę musi codziennie pokonywać stąd do "Świata Oceanu".

- Stąd?

- Przepraszam, sądziłem... czyż Constance nie mieszka tu z panem w San Pedro? -

nalegał Jupe.

Kapitan Carmel pokręcił głową zamyślony. Dokończył kawę.

- Jeśli już o to chodzi - odezwał się kładąc dziwnie silny nacisk na każde słowo, jakby pragnął, by Trzej Detektywi zapamiętali każdy szczegół - to tak się składa, że pan Slater też interesuje się tresowaniem wielorybów. Bardzo się interesuje. Ma dom na wzgórzach nad Santa Monica. - Wręczył detektywom adres, który już dobrze znali. - I ma też duży basen. Bardzo duży basen.

Nie odezwał się już więcej aż do chwili, gdy znaleźli się na ulicy. Podali sobie ręce na pożegnanie i kapitan wyraził nadzieję, że wkrótce znów się zobaczą. Chłopcy podziękowali mu za hamburgery i odpowiedzieli, że również mają taką nadzieję. Jupe, marszcząc czoło i podskubując dolną wargę, patrzył, jak wysoki, chudy mężczyzna oddala się.

- Miły facet - stwierdził Pete. - Miał pecha z tą łodzią.

- Mmmm - mruknął Jupe, jakby nieobecny. Kiedy kilka minut później zjawił się Pancho, żeby ich zabrać, Jupe nadal skubał wargę.

- I co, zmarnowaliście tylko czas? - zapytał Pancho ze współczuciem, kiedy wjeżdżali na autostradę.

- Jak to zmarnowaliśmy? - nie zrozumiał Bob. Siedział wraz z Pete'em na tylnym siedzeniu, wyżej od Pancha i Jupe'a, i czuli się obaj jak w piętrowym autobusie.

- Nie znaleźć kapitana Diega Carmela?

- Znaleźliśmy go i nawet postawił nam po hamburgerze - odparł Pete.

- Co? - Pancho aż odwrócił się, ale zaraz znów skoncentrował się na drodze. - Oczywiście, że wy go nie znaleźć. Ja spotkać meksykańskich przyjaciół w sklepie samochodowym i oni mi opowiedzieć o biedny kapitan Carmel. Jego łódź zatonać.

- Owszem - zgodził się Bob. - Opowiedział nam o tym...

- Ktoś wam może i powiedział, ale to nie być kapitan Carmel.

- Dlaczego nie? - odezwał się Jupe po raz pierwszy od rozstania z kapitanem. Patrzył na Pancha z uśmiechem, jakby wiedział, jak zabrzmie odpowiedź.

- Ponieważ kapitan Carmel w szpitalu. Bardzo chory. Zapalenie płuc. Za długo być w wodzie. Być na intensywnej terapii. Biedny kapitan Carmel. On nie móc mówić - głos Pancha aż zadrżał ze współczucia dla kapitana.

Rozdział 5

Pora na odsłonięcie kart

Jeśli ten człowiek nie jest kapitanem Carmelem, to po co podszywał się pod niego? - zastanawiał się Pete.

Trzej Detektywi wrócili do Kwatery Głównej.

- Ciekawe, kim jest naprawdę? - zapytał Bob.

Jupe milczał. Siedział za biurkiem, w fotelu na biegunach, a na jego okrągłej twarzy malował się wyraz najwyższej koncentracji.

- Z przykrością muszę stwierdzić - przyznał po chwili - iż jestem kompletnym idiotą, naiwnym głupkiem, stukniętym, tępym gamoniem.

Bob miał ochotę zapytać dlaczego, ale w żaden sposób nie potrafił tak sformułować pytania, by nie wyszło na to, że podziela tę opinię. Postanowił poczekać, aż Jupe sam to wyjaśni.

- Nie słuchałem tego, co podpowiadał mi mój rozum - ciągnął Jupe - i nie zawierzyłem własnym oczom. Od pierwszej chwili facet, którego spotkaliśmy przed biurem kapitana Carmela, nie wyglądał mi na człowieka morza. Ani jego strój, ani ręce, ani sylwetka nie pasowały jakoś do kapitana łodzi wynajmowanej do połowów. A czy zwróciliście uwagę na jego prawe oko?

- Masz na myśli tę fałdę pod okiem? - spytał Bob. - Owszem, zauważyłem ją. Najpierw myślałem, że... Czy pamiętacie tego Anglika, którego spotkaliśmy w zeszłym roku?

Jupe skinął głową potwierdzająco.

- Tego z monoklem. Ja też miałem to skojarzenie. Ale potem pomyślałem, że pewnie jest jubilerem lub zegarmistrzem. A później, kiedy był taki miły, postawił nam hamburgery, w ogóle przestałem się nad tym zastanawiać. Siedziałem jak jakaś otepiała sowa i słuchałem go...

Z wrażenia aż poróżowiły mu policzki. A potem cały się zaczerwienił ze wstydu na owo wspomnienie.

- I ja mu wierzyłem. Wziąłem wszystko za dobrą monetę. Ja...

- Wszyscy uwierzyliśmy - przerwał mu Bob, gdyż nie mógł już słuchać tej samokrytyki. - Wszyscy daliśmy się nabrać. Ale dzięki Panchowi wiemy już, na czym stoimy. Teraz należy się zastanowić nad dalszym postępowaniem.

- Nie chodzi o to, że ten człowiek naopowiadał nam kłamstw, lecz...

- Lecz o co? - ponaglił Jupe'a Pete.

- Lecz o to, że większa część jego opowieści jest zgodna z prawdą. Powiedział, że kapitan Carmel stracił łódź podczas sztormu. Meksykański przyjaciel Pancha też to potwierdził. Podał nam prawdziwy adres Oskara Slatera. A na końcu...

Bob nie potrafił dedukować tak jak Jupe, ale za to miał świetną pamięć.

- A na końcu powiedział, że pan Slater bardzo interesuje się tresurą wielorybów i ma dom z wielkim basenem.

- Wszystko się zgadza - przytaknął Pete.

- A jednak zastanawia mnie sposób, w jaki to powiedział - ciągnął Jupe. - Wyraźnie chciał zwrócić na to naszą uwagę. Lecz nadal nie rozumiem, czemu podawał się za ojca Constance, chyba że...

Jupe rozmyślał nad czymś przez chwilę. Przypomniał sobie sposoby w jaki mężczyzna opuszczał biuro i zamykał drzwi za sobą oraz jego zaskoczenie na widok chłopców.

- Chyba że szukał czegoś w biurze kapitana Carmela. Może nawet przeszukiwał cały dom.

- Ale po co? - zapytał Bob. - Facet nie wyglądał mi na złodzieja. Czego mógł tam szukać?

- Informacji - odparł Jupe. - Może przyjechał do San Pedro z tego samego powodu, co my. Zobaczyć, czego się można dowiedzieć o Constance Carmel i kapitanie. I kiedy po wyjściu natknął się na nas, musiał jakoś wytłumaczyć swoją obecność w biurze. Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to udawać kapitana Carmela.

Pierwszy Detektyw wstał z fotela.

- OK. Na siodełka i w drogę.

Pete zdjął nogi z szafki na dokumenty i również wstał.

- Chyba nie pojedziemy na rowerach do domu Slatera? Bo jeśli tak, to głosuję za zabraniami wałówki - kilku kanapek ciotki Matyldy. Jestem za żytnim chlebem z szynką i żółtym serem...

- Nie - przerwał mu Jupe, podnosząc włącz do Tunelu Drugiego. - Nie jedziemy do Slatera. Wrócimy do "Świata Oceanu" porozmawiać z Constance Carmel.

Przed zejściem do Tunelu zatrzymał się i dodał:

- Pora na odsłonięcie kart.

Do zamknięcia "Świata Oceanu" zostało jeszcze sporo czasu, więc Trzej Detektywi

nie musieli się spieszyć. Przyjechali na parking i czekali przy białym pikapie, aż Constance Carmel skończy pracę.

Wieczór był chłodny. Constance Carmel ukazała się w bramie wyjściowej. Pod pachą niosła zwiniętą aksamitną sukienkę. Wydawało się, że - jak pingwiny - nie odczuwa wcale chłodu. Jak zwykle miała na sobie kostium i sandały.

- Cześć - odezwała się na widok chłopców. - Szukacie mnie?

- Panno Carmel - Jupiter wystąpił do przodu. - Wiem, że już dość późno i jest pani pewnie zmęczona. Ale czy nie mogłaby pani poświęcić kilku minut?

- Nie jestem zmęczona - odparła, patrząc na Jupitera z góry. Była od niego wyższa o jakieś sześć cali. - Ale mam coś do załatwienia. Czy możecie wrócić tu jutro?

- Lepiej pomówmy już dziś - Pierwszy Detektyw starał się być jak najwyższy - Chodzi o...

- Jutro - powtórzyła Constance. - Powiedzmy w południe. - Ruszyła przed siebie, sądząc, że Jupe ustąpi jej z drogi.

Lecz Pierwszy Detektyw nie ruszył się z miejsca. Odetchnął głęboko i wymówił jedno słowo, głośno i wyraźnie:

- Fluke.

Constance Carmel zatrzymała się. Oparła ręce na biodrach i spojrzała na Jupe'a nieco podejrzliwie.

- Czego chcecie od Fluke'a?

- Niczego - odparł Jupe z uśmiechem. - Bardzo się cieszymy, że jest cały i zdrowy w basenie pana Slatera. I wiemy, że pani się nim dobrze opiekuje. Chcielibyśmy jednak pomówić z panią o kilku sprawach.

- Chcemy pani pomóc, panno Carmel - wtrącił Bob łagodnie. - Naprawdę.

- W czym pomóc? - Constance Carmel odwróciła się do niego z wyzywającym spojrzeniem. - W jaki sposób?

- Chyba ktoś panią śledzi - powiedział Pete. - Przed biurem kapitana Carmela w San Pedro spotkaliśmy dziś człowieka, który udawał przed nami pani ojca.

- A przecież nie mógł nim być, prawda? - zauważył Jupe. - Ponieważ pani ojciec stracił podczas sztormu łódź i teraz leży w szpitalu.

Constance Carmel zawahała się. Wreszcie z uśmiechem powiedziała:

- A więc rzeczywiście jesteście detektywami.

- Owszem, zgodnie z tym, co mówi nasza wizytówka - odwzajemnił jej uśmiech Pete.

- OK. - Constance Carmel sięgnęła do kieszeni sukienki i wyjęła z niej kluczyki

samochodowe. - W takim razie może się przejedziemy i porozmawiamy w drodze?

- Dziękujemy, to bardzo miło z pani strony - zgodził się Jupe.

- Constance - powiedziała dziewczyna, otwierając drzwi samochodu. - Mów do mnie po prostu Constance, a ja będę do ciebie mówiła Jupiter.

- Jupe.

- OK, Jupe. - Spojrzała na Pete'a. - A ty jesteś Bob?

- Pete.

- Ja jestem Bob.

- Jupe, Pete i Bob. Zapamiętałam. - Constance obdarzyła uśmiechem każdego z osobna. - A więc w drogę.

Na przednim siedzeniu mogły usiąść tylko trzy osoby.

- Ja pojedę z tyłu - zaproponował Pete. - Jupe, opowiesz mi o wszystkim później.

Jupe usiadł obok Constance, a Bob przy nim. Constance prowadziła w milczeniu. Jechali w kierunku nadbrzeżnej autostrady. Kiedy stanęli na czerwonym świetle, zapytała:

- Jak wyglądał ten człowiek, który wyszedł z biura mojego ojca?

Jupe opisał wysokiego, chudego mężczyznę ze znamieniem pod okiem i przypomniał, o czym rozmawiali.

Constance pokręciła głową.

- Nie przypomina mi nikogo znajomego. Może to jakiś przyjaciel taty? Albo... albo ktoś, kto chce mu zaszkodzić. Zmieniły się światła i Constance ruszyła.

- OK. A czego właściwie chcecie się dowiedzieć ode mnie?

- To może zacznijmy od samego początku - zaproponował Jupe. - Od tego, jak pan Slater zadzwonił do ciebie do San Pedro i opowiedział o zabłąkanym wielorybie, którego zauważył przez lornetkę, kiedy płynął swoją łodzią.

Rozdział 6

Zgubiony ładunek

- Wróciłam akurat z odwiedzin u ojca - zaczęła opowiadać Constance. - W jego biurze zadzwonił telefon, więc go odebrałam. To był Oskar Slater. Pochodzi z Południa, chyba z Alabamy. Spotkałam go już wcześniej dwa lub trzy razy, ponieważ tata zabierał go na połowy. Oczywiście zanim stracił swoją łódź. Slater powiedział mi, że znalazł na plaży wieloryba.

Dalej opowiedziała, jak pomagała ratować wieloryba. Najpierw zwróciła się do swoich dwóch meksykańskich przyjaciół, którzy zajmowali się pomocą drogową. Wspólnie przymocowali do dźwigu w ciężarówce wielki kawał grubego płótna i pojechali nad zatoczkę, gdzie Oskar Slater już na nich czekał.

Kiedy udało im się umieścić wieloryba w ciężarówce, Constance otuliła go mokrą gąbką materacową. Tak zabezpieczonego przewieźli go do domu Slatera i wpuścili do basenu. Meksykańscy przyjaciele odjechali, a Constance wskoczyła do wody, żeby zaprzyjaźnić się z Flukiem - takie imię nadała wielorybowi - i pomóc mu przyzwycząić się do nowych warunków.

Oskar Slater pojechał po świeże ryby i wszystko układało się dobrze aż do jego powrotu. Fluke zaczął reagować na przyjacielskie gesty trenerki i wydawał się całkiem zadowolony z nowego środowiska.

- Wszystkie wieloryby są inteligentne - wyjaśniła Constance, kiedy zaczęli piąć się drogą do Santa Monica. - Pod wieloma względami są nawet inteligentniejsze od ludzi, ponieważ ich mózg ma większą objętość. Od razu jednak wyczułam, że Fluke jest niezwykle. W ostatnich latach pracowałam z wieloma wielorybami różnych gatunków, lecz żaden nie był tak pojęty. Ma niecałe dwa lata, co w przeliczeniu na wiek ludzki wynosi mniej więcej pięć. Uważa się, iż wieloryby osiągają wiek dojrzały koło sześciu, siedmiu lat. Ale Fluke swoją inteligencją przewyższa niejedno dziesięcioletnie dziecko.

Constance opowiedziała o pierwszym dniu w domu Oskara Slatera. Nakarmiła Fluke'a rybami przywiezionymi przez właściciela domu, a potem postanowiła, że w drodze do San Pedro zatrzyma się w szpitalu, by odwiedzić ojca. Poprosiła Slatera o podwiezienie. Stał nad brzegiem basenu, a jego łysina błyszczała w słońcu. Przyglądał się Constance, jakby coś kalkulując.

- Jutro przyślę tu kilku ludzi ze "Świata Oceanu" - powiedziała. - Pewnie

przetransportują Fluke'a z powrotem do oceanu. Być może zatrzymają go u nas na dzień lub dwa. W każdym razie zaopiekują się nim.

Ruszyła do wyjścia, ale Oskar Slater zastąpił jej drogę.

- Chwileczkę, Constance. Chyba powinnaś dowiedzieć się czegoś. To dotyczy twojego ojca.

Constance nigdy nie przepadała za Oskarem Slaterem. Aż do tego popołudnia nie poświęcała mu większej uwagi. Teraz ujrzała go w całkiem innym świetle i poczuła, że bardzo go nie lubi.

- O co chodzi?

- Twój ojciec jest zawodowym przemytnikiem. Przez całe lata przewoził magnetofony, radia tranzystorowe i inny sprzęt elektroniczny do Meksyku i tam sprzedawał to trzy- lub czterokrotnie drożej.

Constance milczała. Nie chciała wierzyć słowom Slatera, lecz kilka razy ojcu wyrwało się to i owo w jej obecności. Ale kochała go, gdyż był wspianiałym ojcem. Po śmierci matki otoczył ją troskliwą opieką. Nie dało się jednak ukryć, iż wzorem obywatela raczej nie był.

- Na ostatnią wyprawę zabrał szczególnie ciężki ładunek - ciągnął Slater - przeważnie małe, kieszonkowe kalkulatory, bardzo popularne w Meksyku. Kiedy statek zatonął, wszystko poszło na dno.

Constance wciąż czekała, aż Slater przejdzie wreszcie do sedna sprawy.

- W tym wraku utonęło dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy dolarów. Tak się składa, że połowa tych pieniędzy należy do mnie. Byłem partnerem twojego staruszka w tej transakcji. Kalkulatory leżą sobie teraz na dnie w wodoodpornym pojemniku, a ja nie zamierzam stracić mojego udziału. Wydobędę wrak i odzyskam towar. A ty mi w tym pomożesz.

Jego głos o południowym akcencie zabrzmiał teraz groźnie.

- Ty oraz ten wieloryb, Fluke, czy jak go tam nazywasz. I co ty na to, Constance? Pomożecie mi?

Constance dobrze rozważyła słowa, zanim odpowiedziała. Była przekonana, że z punktu widzenia prawa amerykańskiego, ojciec nie popełnił przestępstwa. Wywożenie za granicę kieszonkowych kalkulatorów oraz magnetofonów nie było zabronione, o ile zostały kupione legalnie. Jeśli Slater próbował ją szantażować, grożąc ojcu kłopotami z policją, to tracił jedynie czas. Władze meksykańskie też niewiele mogły zrobić, skoro nie przyłapały jej ojca na gorącym uczynku.

Problem polegał jednak na tym, że kapitan Carmel, w swojej niefrasobliwości, nie

zauważył, że wygasło ubezpieczenie łodzi. Nie zadbał też o własne ubezpieczenie i teraz każdy dzień pobytu w szpitalu kosztował go setki dolarów. Gdyby Constance pomogła w wydobywaniu towarów z wraku łodzi, ojciec odzyskałby swój udział. Mając dziesięć tysięcy dolarów, mógłby z powodzeniem uregulować wszystkie zaległe rachunki za szpital. A poza tym, nie robiłaby niczego niezgodnego z prawem. Nie lubiła Slatera. Jej niechęć rosła z każdą minutą spędzaną z tym człowiekiem. Ale w końcu, co szkodziło wykonać dla niego tę pracę?

- No i zgodziłam się - zakończyła swoją opowieść Constance, podjeżdżając na wzgórze. - Tak się właśnie sprawy mają. Próbuję przygotować Fluke'a do odnalezienia wraku.

Jupe przez cały czas nie powiedział ani słowa. Wreszcie mruknął:

- A więc po to były te pasy, ta obroza, którą nałożyłaś Fluke'owi na głowę. Przymocujesz do nich kamerę. Wieloryby potrafią przecież nurkować głębiej i szybciej niż jakikolwiek nurek. Fluke będzie mógł penetrować dno oceanu szybko i dokładnie, a kamera na jego głowie być może zarejestruje miejsce, w którym osiadł wrak.

Constance uśmiechnęła się.

- Wiesz, że jesteś całkiem bystry. W każdym razie jak na człowieka.

Jupe też się roześmiał.

- Nie wszyscy mogą być tak inteligentni jak wieloryby.

- No, dobrze. - Constance popatrzyła na Jupe'a przyjaźnie. - Teraz chyba twoja kolej. Może zechcesz wyjawić, czemu tak interesujecie się Flukiem? Czy prowadzicie jakieś dochodzenie?

Jupe pomyślał o anonimowym telefonie i studolarowej ofercie. Pragnął odwzajemnić Constance jej szczerłość, a poza tym nie sądził, by mówiąc jej prawdę, mógł komukolwiek zaszkodzić.

- Mamy klienta. Nie mogę podać jego nazwiska, ponieważ sami go nie znamy. Zaoferował nam całkiem pokaźną sumę za odnalezienie wieloryba i przetransportowanie go z powrotem do oceanu.

- Do oceanu? - zdumiała się Constance. - Ale dlaczego? Po co?

- Tego nie wiem. A przynajmniej, jeszcze nie wiem.

- No cóż, wykonaliście już połowę zadania, odnaleźliście Fluke'a. - Constance zatrzymała samochód przed wystawnym domem Oskara Slatera. - To może teraz mi pomożecie?

- Oczywiście - odparł Bob. - Co możemy dla ciebie zrobić?

- Czy nurkowaliście kiedykolwiek?

Trzej Detektywi odpowiedzieli twierdząco. Jupe wyjaśnił, że Pete jest w tym

najlepszy, ale wszyscy trzej odbyli kurs nurkowania i zdali końcowe testy.

- Wspaniale. Pracujemy więc razem. Fluke wróci do oceanu, kiedy tylko będzie gotowy. Muszę być pewna, że polubił mnie na tyle, by nie uciec. A wy pomożecie mi odnaleźć łódź mojego taty. Umowa stoi?

- Stoi - jednocześnie odpowiedzieli Bob i Jupe. Propozycja brzmiała wspaniale. Nie tylko będą zarabiali na swoją nagrodę, lecz także czeka ich poszukiwanie zatopionej łodzi i odzyskanie jej ładunku.

- W takim razie idziemy - Constance otworzyła drzwi samochodu. - Zapraszam was na ponowne spotkanie z Flukiem.

Mały wieloryb, do połowy zanurzony w wodzie, drzemał. Zamknięte oczy i otwór, przez który wydmuchiwał wodę, miał na powierzchni. Obudził się natychmiast, gdy Constance włączyła podwodne światła. Podpłynął do niej, uniósł głowę i z wyraźną radością poruszał płetwami.

Wydawało się, że rozpoznał też Trzech Detektywów. Kiedy uklękli nad brzegiem basenu, podpłynął do nich i delikatnie musnął każdego wargami.

- O, rany - sapnął Pete. - On chyba... czy to możliwe, żeby nas rozpoznał?

- Oczywiście - obruszyła się Constance. - Ocaliliście mu życie. Czy sądzicie, że mógłby zapomnieć taką rzecz?

- Ale przecież to tylko...

Bob zorientował się, że Pete zaraz powie, iż Fluke to tylko wieloryb. Szturchnął go dyskretnie, żeby się uciszył. W tej samej chwili przypomniał sobie, że Pete nie słyszał przecież opowieści Constance, więc odciągnął go na bok i szybko streścił całą historię.

Constance nakarmiła Fluke'a i przygotowała sobie płetwy. Właśnie miała je nałożyć, gdy nagle coś odwróciło jej uwagę. Jupe spostrzegł wyraz irytacji na jej twarzy.

Od strony domu zmierzali w jej kierunku dwaj mężczyźni. Jeden z nich pasował do opisu Oskara Slatera, jaki podał Pete. Drugiego chłopcy rozpoznali natychmiast. Tak jak Slater, był chudy i wysoki. Miał wąskie ramiona i znamię pod prawym okiem; podświetlone przez podwodne reflektory przypominało bliznę.

- Chyba uzgodniliśmy, że będzie się pan trzymał z daleka - powiedziała gniewnie Constance. - Ma pan nie zbliżać się do basenu, aż przygotuję Fluke'a do poszukiwania łodzi.

Slater nie odpowiedział. Patrzył na Trzech Detektywów.

- Co to za dzieciaki? - zapytał jak zwykle przeciągając sylaby.

- To moi przyjaciele - odparła chłodno Constance. - Płetwonurkowie. Będzie mi potrzebna pomoc, a oni zgodzili się pracować ze mną.

Slater skinął głową. Widać było, że nie jest tym zachwycony. Ale skoro Constance ich potrzebowała, musiał na to przystać.

- A kim jest pański przyjaciel? - spytała Constance, spoglądając na wysokiego, chudego mężczyznę stojącego obok Slatera.

- Nazywam się Donner. Paul Donner. Jestem starym znajomym pana Slatera oraz pani ojca, panno Carmel - zrobił małą pauzę, poczym dodał z uśmiechem: - Starym znajomym z Meksyku.

- Ach, tak.

Jupe był pewien, że jego nazwisko nic Constance nie mówiło i że nigdy przedtem nie widziała tego człowieka. Wywnioskował jednak z uśmiechu, z jakim powiedział "z Meksyku", że chciał w ten sposób uspokoić Constance, iż wiedział wszystko o sprawkach jej ojca i że był po jej stronie.

Paul Donner, wciąż uśmiechnięty, odwrócił się do Trzech Detektywów.

- Ach, więc jesteście pletwonurkami. Czy pracujecie razem z panną Constance w "Świecie Oceanu"?

- Od czasu do czasu - odpowiedziała Constance. - Kiedy potrzebuję dodatkowej pomocy. Och, przepraszam, zapomniałam was przedstawić. Jupe, Pete i Bob.

- Miło mi - mężczyzna przywitał się z detektywami, jakby widział ich po raz pierwszy w życiu.

Jupe pomyślał, że Paul Donner albo ma dziurawą pamięć, albo nie chce, żeby Slater dowiedział się o ich wcześniejszym spotkaniu.

Tylko dlaczego? Co Paul Donner próbował ukryć?

Rozdział 7

Niebezpieczne miejsce

- Paul Donner - powiedział Jupe. - Jaką rolę w tej łamigłówce odgrywa Paul Donner?
Jupe nie skierował tego pytania do kolegów. Swoim zwyczajem zastanawiał się na głos.

Był kolejny dzień i Trzej Detektywi niecierpliwie wyczekiwali na Constance przy bramie składu złomu. Dziewczyna wzięła wolne popołudnie i po obiedzie miała po nich przyjechać.

- Z całą pewnością jest zamieszany w tę historię - ciągnął Jupiter.

- Constance spotkała go wczoraj u Slatera po raz pierwszy w życiu, a przecież wiedział on wszystko o wycieczkach jej ojca do Meksyku.

- I myszkował po biurze kapitana Carmela - dodał Bob.

- No, właśnie - przytaknął mu Jupe. - Jest też przyjacielem Slatera i to właśnie on mógł być tym drugim człowiekiem, którego widzieliśmy na łodzi, kiedy ratowaliśmy Fluke'a.

- Ale widać jego przyjaźń nie jest całkiem szczera - zauważył Bob.

- Nie przyznał się Slaterowi, że spotkał nas już wcześniej w San Pedro.

- Jedno jest pewne - dodał Pete - ten człowiek wie o nas więcej niż my o nim. Wtedy w San Pedro od razu nas rozpoznał.

- Jeśli chcecie znać moje zdanie - odezwał się Jupe, choć nikt nie wyrażał takiej ochoty - to uważam, iż ten człowiek wie o wszystkim. Wie o przemyśle, sztormie, kalkulatorach i o planach Slatera co do Fluke'a. Nie potrafię jednak wyjaśnić jego roli w całej tej sprawie...

Jupe przerwał, ponieważ przed bramę zajechał biały pikap Constance. Trzej Detektywi wskoczyli do niego. Jupe usiadł obok Constance i wręczył jej jakieś małe pudełko z metalu, które przyniósł ze sobą.

- Mam nadzieję, że o to ci chodziło.

- Już skończyłeś? - zdziwiła się Constance wyraźnie uradowana.

Jupe skinął głową. Wstał o piątej i cały ranek pracował nad zleceniami, które dała mu Constance poprzedniego wieczora. Zademonstrował jej, w jaki sposób należy otwierać pudełko.

Wewnątrz znajdował się mały magnetofon, mikrofon i głośnik. W jednej ze ścianek Jupe wyciął dwa otwory i wstawił w to miejsce cienkie plastikowe kółka. Dzięki temu

magnetofon mógł nagrywać, nawet kiedy pudełko było zamknięte.

Jupiter wykonał kilka testów w wannie. Wszystkie były udane i ani kropla wody nie dostała się do środka.

- Jesteś prawdziwym specem od elektroniki - pochwaliła go Constance.

- Bez przesady. To tylko hobby.

W głębi duszy Jupe był przekonany, że pod względem wynalazków technicznych i urządzeń, które wykonywał w swoim warsztacie, dorównywał samemu Thomasowi Edisonowi. Nie chciał się jednak przechwalać i wołał, by jego prace mówiły same za siebie.

Trzej Detektywi wzięli ze sobą płetwy i maski do nurkowania. Po przyjeździe do domu Slatera przebrali się w kąpielówce i zebrali nad brzegiem basenu.

Nie zauważyli w pobliżu ani Slatera, ani jego przyjaciela Paula Donnera.

- Ostrzegałam ich, żeby trzymali się z daleka - powiedziała Constance. - Jeżeli nie będą, to... - nie dokończyła zdania.

- Chyba tak naprawdę nie zamierzasz zrezygnować? - zapytał Bob zaniepokojony.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mogę. Tacie za bardzo potrzebne są pieniądze. Muszę odzyskać ten ładunek.

- Jak się czuje twój tata? - zapytał Pete.

- Jeszcze ciągle niedobrze, ale to twardy gość. Prawdziwy meksykański hombre - odparła z dumą. - Lekarze uważają, że wyjdzie z tego. Pozwalają mi odwiedzać go codziennie, ale tylko po kilka minut. Ma jeszcze kłopoty z mówieniem. A kiedy już mówi, to wciąż na jeden temat. W kółko powtarza... - przerwała i zaczęła nakładać płetwy.

- Jesteście detektywami - podjęła po chwili. - Może coś z tego zrozumiecie. Wciąż powtarza: "Dwa drągale jednocześnie. Uwważaj!"

Ześliznęła się do basenu, a Fluke podpłynął ochotczo, by się przywitać.

- Dwa drągale - powtórzył Jupe, skubiąc dolną wargę. - Uwważaj! - Popatrzył na Boba i Pete'a. - Co wy na to?

- Drągale... - zastanawiał się Bob. - Być może chodziło mu o kogoś wysokiego. Paul Donner jest chudy i długi jak tyka...

- Dobra obserwacja - pochwalił go Jupe. - Lecz jeśli on jest jednym z drągali, których Constance powinna się wystrzegać, to kto jest drugim? Czyżby sam Slater?

- Może? - odparł Pete. - O rany! Spójrzcie na to!

Fluke okrążył basen raz po raz, a Constance, lekko odgięta do tyłu, jechała na jego grzbiecie, obejmując go rękami.

Przez następne pół godziny chłopcy przyglądali się zabawie Constance z małym

wielorybem. Tylko Bob wiedział, że ta pozorna zabawa jest rezultatem ciężkiej pracy. Constance nauczyła Fluke'a nie tyle słuchania poleceń, co odczytywania z jej gestów, wyrazu twarzy, co ma wykonać.

Pete pomyślał, że wyglądają jak bliscy przyjaciele. Na tyle bliscy, by czytać ze swoich myśli i podobnie na nie reagować. Myśleć i poruszać się jak jedna osoba.

Constance nakarmiła Fluke'a i zaprosiła Trzech Detektywów do wody, by Fluke mógł się z nimi oswoić i zaprzyjaźnić.

Pete początkowo czuł się nieswojo, płynąc koło wieloryba i czując, jak Fluke poszturkuje go lekko w bok. Wydawał się Pete'owi taki duży i silny. Ale czuło się też jego łagodność. Już po krótkim czasie Trzej Detektywi stali się nowymi przyjaciółmi Fluke'a.

- Świetnie sobie radzicie - pogratulowała im Constance, kiedy wyszli z basenu. - A teraz wypróbujmy ten magnetofon.

Fluke podpłynął do przeciwległego końca basenu. Constance nauczyła go, że tam ma czekać na polecenia.

Otworzyła metalowe pudełko i nastawiła magnetofon na NAGRYWANIE, po czym przymocowała pudełko do paska, który zapięła na biodrach. I zanurkowała aż na dno basenu.

Fluke natychmiast ułożył się płasko na dnie po swojej stronie basenu. Trzej Detektywi przypatrywali się Constance zafascynowani. Jupe pomyślał, że po raz pierwszy spotyka kogoś, kto tak długo potrafi przebywać pod wodą. Constance czuła się w niej tak swobodnie, jak ciotka Matylda w swoim salonie. Pete zauważył, jak jedną ręką podtrzymuje pudełko, a drugą strzela z palców. Kiedy przestała, uśmiechnęła się i przekrzywiła głowę na bok.

Wreszcie wypłynęła na powierzchnię i wzięła głęboki oddech. W rzeczywistości spędziła pod wodą około dwóch minut, ale chłopcom zdawało się, iż trwało to o wiele dłużej.

- Chyba się udało - powiedziała. - Posłuchajmy, jak to wyszło.

Jupe przewinął taśmę i włączył magnetofon.

Początkowo słychać było jedynie plusk wody, a potem rozległo się jakieś kłaskanie. Pete rozpoznał ten dźwięk. To Constance strzelała palcami.

Kłaskanie ustało. Zamiast niego rozległ się całkiem wyraźny ptasi trel. Dźwięk wznosił się i opadał, stale zmieniając tonację. Towarzyszył mu głośny klekot, jaki wydają kastaniety w hiszpańskich pieśniach.

Jupe pomyślał, że nie jest to jednak ptasi śpiew. Dźwięk był zbyt gardłowy i zanadto wibrujący. Przypominał... Właściwie Jupe słyszał coś takiego po raz pierwszy w życiu. Ten dźwięk trwał może minutę. Kiedy ustał, Constance wyłączyła magnetofon.

- Czy to był Fluke? - zapytał Bob dramatycznym szeptem. - To on śpiewał dla ciebie?

- Śpiewał. Mówił. Różnie można to nazwać. Wszystkie wieloryby komunikują się ze sobą przy pomocy takich dźwięków. Pod wodą ich głos niesie się daleko. Jak dotąd, ludzie nie zdołali rozszyfrować ich mowy. A jestem pewna, że gdyby to się udało, język wielorybów okazałby się równie skomplikowany i pełen znaczeń, co nasz - powiedziała Constance, zdejmując płetwy. - Choć nie sądzę, by wieloryby się kłóciły. Nigdy też ze sobą nie walczą. Są na to zbyt cywilizowane. I jestem pewna, że nie kłamią, w przeciwieństwie do nas. Mają zbyt wiele rozsądku, by tak postępować. W końcu, skoro już można się ze sobą porozumiewać, to po co zniekształcać obraz rzeczy, zamiast mówić o nich wprost?

- Czy moglibyśmy jeszcze raz posłuchać nagrania? - poprosił Pete.

- Za chwilę. Chciałabym, żeby najpierw posłuchał go Fluke.

Jupe ponownie przewinął taśmę i włączył magnetofon. Constance uklękła nad brzegiem basenu i włożyła pudełko do wody. Trzej Detektywi obserwowali wieloryba.

Wciąż leżał bez ruchu na dnie basenu. Nagle drgnął. Rozpostarł płetwy jednym odepchnięciem pokonał całą długość basenu. Bobowi zdawało się, że się uśmiechał, podobnie jak wtedy na plaży, gdy próbowali go ratować.

Fluke podpłynął do metalowego pudełka. Zawahał się, po czym lekko dotknął go wargami.

- Świetnie - pochwaliła go Constance, wyciągając pudełko z wody. - Dobry Fluke, dobry.

Z radosnym uśmiechem wyrzuciła w powietrze świeżą rybę i patrzyła, jak Fluke chwyta ją w powietrzu.

- To właśnie chciałam sprawdzić. Teraz wszystko powinno być w porządku. Jeśli Fluke zbyt się oddali, będziemy go mogli przywołać jego własnym głosem.

- Jeżeli chcesz, mogę przegrać śpiew Fluke'a na inną taśmę, powtarzając go kilkakrotnie - zaproponował Jupe. - W ten sposób otrzymamy półgodzinne nagranie jego głosu.

Constance uznała to za świetny pomysł i oddała Jupe'owi pudełko.

- Muszę teraz jechać do taty do szpitala. Po drodze podrzucę was do składu złomu.

Pete wdrapał się na bagażnik pikapa, a Jupe z Bobem usiedli z przodu obok Constance.

Do pierwszego zakrętu dotarli bez problemów, ponieważ droga była równa i prosta. Potem zaczynała widać się stromo w dół. Jupe pomyślał, że Constance jedzie zdecydowanie za szybko. Zdziwiło go, że nie zwalnia na zakrętach. Jak dotąd, zawsze prowadziła rozważnie i umiejętnie. Teraz pokonywała zakręty z piskiem opon, jakby próbowała pobić rekord

prędkości. I wtedy spostrzegł, że Constance wciskała hamulec, i to do samej podłogi.

Przed nimi wyłonił się zakręt niezwykle ostry, niemal pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Samochód pędził w jego stronę jak znarowiony koń. Zamiast zwalniać, jechał coraz szybciej.

Constance chwyciła hamulec ręczny i zaciągnęła go. Pikap nie zareagował. Nadal pędził przed siebie. Dziewczyna sięgnęła po hamulec bezpieczeństwa. Strzałka szybkościomierza wciąż się wznosiła. Czterdzieści. Czterdzieści pięć. Pięćdziesiąt mil na godzinę.

- Czy coś się stało... - wykrztusił Bob. - Coś nie tak z hamulcami?

Constance skinęła głową, ściskając dźwignię biegów.

- Nie działają. Sorry.

Zmieniła bieg na niższy i próbowała hamować silnikiem. Pikapem zarzucało jak statkiem podczas sztormu, lecz kiedy Jupe rzucił okiem na szybkościomierz, okazało się, że nadal wskazywał pięćdziesiąt mil na godzinę. Przed nimi, w miejscu gdzie droga skręcała ostro w prawo, pomiędzy drzewami stał stary dom otoczony grubym, kamiennym murem.

Jupe pomyślał, że jadąc z tą prędkością nie mają żadnych szans, by wyrobić się na zakręcie. Niechybnie czeka ich czołowe zderzenie z murem!!!

Rozdział 8

Trzej podejrzani

Constance zjechała gwałtownie na środek drogi, a potem na lewy pas. Gdyby teraz wyjechał zza zakrętu inny samochód, to z obu pojazdów ułałaby masa pociętego metalu.

Ale droga okazała się pusta, a przed nimi stał jedynie ów mur, który wydawał się gruby i potężny jak skała.

Bob i Jupe zaparli się nogami o tablicę rozdzielczą i tak czekali na uderzenie.

Constance mocno skręciła kierownicę w prawo i jednocześnie włączyła wsteczny bieg.

Jupe nadal widział tylko mur zbliżający się w zastraszającym tempie... choć teraz jakby przesunięty nieco w lewo. Zdarzenia następowały po sobie błyskawicznie. Mur zdecydowanie zmienił położenie. Zamiast w przedniej szybie, Jupe widział go teraz w bocznej, tuż-tuż przy samochodzie. Silnik jęczał i rzeźił w proteście. Bob z Jupe'em z całych sił chwycili za fotel, żeby nie wylądować na Constance. Dziewczyna wciąż trzymała kierownicę skręconą w prawo niemal do oporu. Opony piszczały jak syrena policyjna. Mur nie dał za wygraną i dosięgnął jednak bocznych drzwi oraz tyłu samochodu. Constance wyprostowała kierownicę i pikap przejechał, zarzucając na boki, jeszcze kilka jardów, by wreszcie po paru szarpnięciach stanąć.

Przez chwilę panowała cisza. Constance odpoczywała z głową opartą o kierownicę. Oddychała głęboko, kontrolując każdy oddech podobnie jak po nurkowaniu.

- OK - odezwała się wreszcie, nieco ochryplym, lecz spokojnym głosem. - Trzeba obejrzeć uszkodzenia. Moje drzwi są zablokowane, więc musimy wyjść od twojej strony, Bob.

Bob zeskoczył na ziemię, ale musiał oprzeć się o samochód, gdyż nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Wtem przypomniał sobie o Pecie. Pokuśtykał do klapy bagażnika i otworzył ją. Pete leżał twarzą do metalowej podłogi, z rękami i nogami rozrzuconymi na boki. Nie ruszał się.

- Hej, Jupe - krzyknął Bob. - Chodź tu szybko.

Wspięli się na bagażnik i uklękli obok przyjaciela. Bob wziął go za rękę, próbując wyczuć puls.

Pete poruszył się i otworzył oczy.

- Szybko, powiedzcie mi - wyszeptał niecierpliwie. - Czy ja żyję, czy już umarłem?

- Wyglądasz mi na żywego - Bob uśmiechnął się z ulgą. - Puls masz w porządku, a poczucie humoru też ci się nie pogorszyło.

- Poczucie humoru, też coś! - Pete usiadł i zaczął dotykać rąk i nóg, sprawdzając, czy nie są połamane. Nie były. - Czy dowiem się, co się właściwie stało? Uderzyło wam do głów, tam z przodu? A może trenowaliście przed wyścigami?

Jupe potrząsnął głową. Uświadomił sobie, co musiał przeżywać Pete, kiedy miotało nim na wszystkie strony, a nie miał pojęcia o przyczynie tego wszystkiego.

- Wydaje mi się, że ktoś uszkodził hamulce - stwierdził Jupe.

- Specjalnie? - Pete poderwał się na nogi.

- Najlepiej to sprawdzić - zaproponował Bob.

Dość szybko przekonali się, że przypuszczenie Jupe'a było słuszne. Constance podniosła maskę i od razu zauważyli, że wszystkie przewody hamulcowe zostały przecięte.

- Ktoś mógł to zrobić, kiedy samochód stał przed domem Slatera. Miał na to dużo czasu - powiedział Jupe do Constance.

- Ale kto to mógł być? - zastanawiała się dziewczyna.

Na to pytanie Pierwszy Detektyw nie potrafił jednak odpowiedzieć. Wymagało ono dłuższego zastanowienia. Constance wezwała znajomych z pomocy drogowej, a potem jadąc z nimi do San Pedro, podrzuciła Trzech Detektywów do składu złomu. Wszystko trwało około dwóch godzin. Przez ten czas Jupe intensywnie rozmyślał o ostatnich wydarzeniach. Jednak dopiero wtedy, gdy usiadł za własnym biurkiem w Kwaterze Głównej, mógł się odpowiednio skoncentrować i uporządkować myśli.

- Ktoś... - Jupe zaczął dedukować na głos, by Bob i Pete mogli wtrącać swoje uwagi - ktoś najwyraźniej nie chce, abyśmy znaleźli wrak łodzi kapitana Carmela. Dziś po południu byli nawet gotowi posunąć się do zabójstwa lub spowodowania poważnego wypadku, by powstrzymać Constance i nas wszystkich od realizacji planu związanego z Flukiem.

Jupe przez chwilę milczał, skubiąc wargę.

- Wydaje mi się, że możemy mówić o trzech podejrzanych. O tylu już, w każdym razie, coś wiemy.

- Pierwszy - Jupe podniósł pulchny palec. - Oskar Slater. Tylko że akurat dla niego odnalezienie łodzi jest pod każdym względem korzystne. A poza tym, wszystko, co do tej pory zrobił - porwanie Fluke'a, namówienie Constance do trenowania go - świadczyłoby o tym, iż zależy mu na powodzeniu naszej misji.

Jupe znowu przerwał.

- Idźmy dalej. Numer drugi. - Drugi pulchny palec dołączył do pierwszego. - Paul

Donner. Co o nim możemy powiedzieć? Kiedy spotkaliśmy go w San Pedro, znał nasze nazwiska. Wiedział, że jesteśmy Trzema Detektywami. Ale skąd to wszystko wiedział?

Nie było odpowiedzi.

- Paul Donner okłamał nas, podając się za ojca Constance - ciągał Jupe. - Ale jednocześnie udzielił nam kilku prawdziwych informacji. Na przykład o tym, że łódź zatонуła w trakcie rejsu do Meksyku, w który kapitan wypłynął razem z Oskarem Slaterem. Nie, zaraz, chwileczkę. - Jupe zamyślił się. - Powiedział, że wracali z połowu w Dolnej Kalifornii, kiedy łódź zatонуła.

Bob i Pete wiedzieli, że Jupe ma rację. Zawsze ją miał, gdy chodziło przytoczenie czyichś słów.

Jupe siedział przez chwilę nieruchomo, a potem podniósł słuchawkę i wykręcił jakiś numer.

- Halo - w głośniku zabrzmiał głos Constance.

- Tu Jupe.

- Witaj, Jupe. Wszystko w porządku? Głos masz trochę smutny.

- Nie jestem smutny, raczej zaintrygowany. Chciałbym cię zapytać o parę spraw, które mnie nurtują.

- Słucham.

- Pamiętasz, jak daliśmy ci naszą wizytówkę podczas pierwszej wizyty w "Świecie Oceanu"? Czy pokazywałaś ją komukolwiek lub rozmawiałaś z kimś o nas?

- Nie.

- A co z nią zrobiłaś?

- Chyba położyłam ją na biurku.

- A czy tam ktoś mógł ją zobaczyć?

- Oczywiście. Tak mi się wydaje. Dzielę pokój z kilkoma osobami i prawie nigdy go nie zamykamy.

- A więc jeśli ktoś zauważył, jak wchodzimy do twojego pokoju, mógł poczekać, aż opuścimy pokój, wejść spokojnie do środka i przeczytać leżącą na twoim biurku wizytówkę?

- Sądzę, że to całkiem możliwe. Właściwie obejrzałam ją dopiero po waszym wyjściu i...

- I zaniepokoiłaś się o Fluke'a. Wskoczyłaś do samochodu i pojechałaś wprost do domu Oskara Slatera, żeby sprawdzić, czy wielorybowi nic się nie stało.

- Zgadza się. Ale skąd o tym wiesz?

- Minęłaś nas na parkingu.

- Ach, więc to wy byliście. Omal was nie przejechałam. A jak brzmi następne pytanie, Jupe?

- Dotyczy twojego ojca. Podczas tego rejsu, kiedy zabrał ze sobą Slatera do Dolnej Kalifornii, żeby sprzedać kieszonkowe kalkulatory...

- Tak?

- Czy potrafisz określić, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy wyruszył, do nadejścia sztormu, w którym zatonała łódź?

Constance zastanawiała się dość długo.

- Nie wiem - przyznała. - Widzisz, San Pedro jest zbyt daleko, by codziennie dojeżdżać do pracy. Więc w te dni, kiedy pracuję, nocuję u koleżanki w Santa Monica. Zazwyczaj odwiedzam tatę w każdy poniedziałek, mój wolny dzień. Pamiętam, że wtedy musiałam akurat pojechać do San Diego i nie widziałam taty dwa tygodnie, dopiero kiedy zadzwonili ze szpitala...

Głos jej się załamał. Przypomniała sobie wstrząs, jakim był tamten telefon.

Jupe czekał, aż Constance się uspokoi i podejmie swoją opowieść.

- Wiem, do czego zmierzasz - powiedziała już swoim zwykłym, energicznym tonem. - Tata ze Slaterem mogli przez cały ten czas przebywać na morzu, a ja o tym nie wiedziałam.

- To całkiem możliwe, chyba zgodzisz się ze mną? - odparł Pierwszy Detektyw.

- Uważasz, że to ma jakieś znaczenie?

Jupe przytaknął. Po skończeniu rozmowy z Constance długo jeszcze zastanawiał się nad owym znaczeniem. Czy kapitan Carmel i Oskar Slater dotarli w ogóle do Dolnej Kalifornii? Czy sztorm złapał ich w drodze powrotnej? Tego musiał się dowiedzieć.

Tylko jak?

Popatrzył na Pete'a.

- Co byś powiedział na krótką wyprawę do Malibu?

- Jasne - Pete skoczył na równe nogi. - Wreszcie mówisz do rzeczy...

- A ty, Bob?

- OK.

Bob domyślał się, co Jupe planuje, i uznał, że to rozsądny pomysł. Nadal jednak zaprzątnięty był myślami o tym, co Pierwszy Detektyw powiedział wcześniej.

- Mamy trzech podejrzanych - podsumował Jupe.

Wymienił dwa nazwiska: Oskar Slater i Paul Donner.

- Chwileczkę, Jupe - wtrącił Bob. - A kto jest tym trzecim podejrzany?

Lecz Pierwszy Detektyw otworzył już wjazd do tunelu i zniknął w nim bez słowa.

Rozdział 9

Pomoc Alfreda Hitchcocka

- Brązowy ryż - oświadczył dumnie Hoang Van Don, wietnamski służący Alfreda Hitchcocka.

Postawił wielką, parującą wazę na stoliku w patio i uśmiechnął się szeroko do Trzech Detektywów.

- Samo zdrowie - zachęcał chłopców Don. - Ma wszystkie naturalne witaminy. Żadnej chemii. Żadnych konserwantów.

I żadnego smaku, mogę się założyć, pomyślał Pete i pochylił się, żeby powąchać potrawę. Zatęsknił niemal do dni, kiedy Don korzystał z przepisów podawanych w nocnych reklamach telewizyjnych. Paluszki rybne i mrożone pizze miały przynajmniej jakiś smak w przeciwieństwie do potraw, które Don zaczął serwować, kiedy przerwucił się na pokazy popołudniowe. Dostał się pod wpływ pewnego guru, który popołudniami dawał odczyty telewizyjne na temat zalet rzepy czy też soku z marchwi.

- Proszę bardzo, kto ma ochotę na naturalny, brązowy ryż? - zapytał Alfred Hitchcock. Zaproszenie nie znalazło odzewu, wobec tego pan Hitchcock sam nałożył chłopcom ryżu na talerze.

Siedzieli w ogromnym salonie, którego liczne okna wychodziły na Pacyfik. Kiedyś ten dom był znaną w Malibu restauracją zwaną "U Charlie'ego". Alfred Hitchcock kupił go po tym, jak na podstawie kilku jego powieści sensacyjnych nakręcono filmy. I stopniowo przebudowywał dawną restaurację na wzór - jak to określał - rezydencji.

- Czy widzisz jakieś zmiany? - zwrócił się do Jupe'a. - Prace dość się posunęły od waszej ostatniej wizyty.

Jupe rozejrzał się po niemal pustym pomieszczeniu, które kiedyś było główną salą restauracyjną, a teraz przypominało stodołę.

- Widzę, że wykończył pan podłogę. I kupił pan... fotel na biegunach.

Alfred Hitchcock skinął głową z wyraźną dumą.

- Właściwie nie kupiłem go - wyznał. - To prezent od studia filmowego. Używany był w moim ostatnim filmie pt. "Dreszcze". Czy pamiętacie tę scenę, kiedy starsza pani zostaje uduszona przy pomocy metalowego wieszaka?

Jupe pamiętał ją bardzo dobrze. Staruszka siedziała na owym właśnie bujanym fotelu, kiedy dusiciel podkradł się do niej od tyłu.

Jupe nie bardzo rozumiał, po co komu taka pamiątka, i do tego w rezydencji. Lecz zdążył się już oswoić z dość ekscentrycznym postępowaniem Alfreda Hitchcocka. I w gruncie rzeczy podziwiał i cenił go za to. Jednym z takich ekscentrycznych zwyczajów było to, iż pan Hitchcock zawsze potrafił znaleźć czas dla Trzech Detektywów. Odkładał na bok pracę, by wysłuchać relacji z ich ostatniej sprawy i doradzić, w miarę swoich możliwości, jak mają postępować.

Wiele lat temu pan Hitchcock pracował w Nowym Jorku jako prywatny detektyw. Powieści sensacyjne zaczął pisać podczas rekonwalescencji po urazie nogi. Książki odniosły taki sukces, że zrezygnował z kariery tajnego agenta. Cieszył się teraz sławą reżysera i pisarza. Często występował w telewizyjnych talk show.

Jednak żyłka detektywistyczna wciąż w nim pulsowała. Być może tęsknił do czasów, gdy śledził podejrzanych i godzinami wystawał na rogach, by ujrzeć w tłumie tę jedną twarz i znów poczuć dreszczyk emocji podczas udanej zasadzki na malwersanta lub szantażystę.

Z wielką radością powitał Trzech Detektywów, kiedy późnym popołudniem zjawili się w jego domu. Wysłuchał z uwagą relacji z ostatniej sprawy, po czym wstał i nie czekając nawet na zachętę Jupe'a, wykonał kilka telefonów. Trzej Detektywi wyczekiwali z niecierpliwością na rezultaty tych rozmów. Sami nigdy by nie dotarli do takich informacji.

Pete rozgrzebywał widelcem brązowy ryż na talerzu. Wziął trochę do ust i zaczął przeżuwać.

- I cóż? - dopytywał się Don. - Jak smakuje, panie Crenshaw?

- Jest... - Pete szukał właściwego określenia. - Hmm, z całą pewnością jest interesujący.

- On wcale nie ma być interesujący - obruszył się Wietnamczyk. - Interesujące jedzenie szkodzi na żołądek. Tak mówił guru w telewizji.

- Ale jeśli jedzenie nie będzie interesujące - zaprotestował Bob - to nikt nie będzie go jadł i wszyscy umrą z głodu.

- Pan tak mówi, bo pan ma złe myśli. A złe myśli wywołują w żołądku złe soki trawienne. I wtedy człowiek dostaje wrzodów.

- To pewnie racja - zgodził się Bob potulnie, przeżuwając brązowy ryż i próbując myśleć o nim pozytywnie.

- Jak pana nowa książka? - zapytał Jupe pana Hitchcocka, żeby zmienić temat. Wystarczyło, że musieli zjadać tę packę. Prowadzenie na jej temat rozmowy to już było za wiele.

- Rozwijają się całkiem nieźle - odparł Alfred Hitchcock. - Teraz, kiedy pracuję na

edytorze tekstu, niemal widzę w wyobraźni to, co chcę napisać, zanim jeszcze dotknę klawiatury. To tak, jakby...

Przerwał mu dzwonek telefonu.

Pan Hitchcock ujął laskę wiszącą przy fotelu i opierając się na niej, pokuśtykał do aparatu. Noga wciąż mu dokuczała. Minął długi szereg regałów książkowych. Na końcu ogromnego pomieszczenia znajdowało się miejsce do pracy. Na dużym biurku obok komputera stał aparat telefoniczny. Przy komputerze wydawał się niezwykle mały.

Trzej Detektywi usłyszeli, jak pan Hitchcock podnosi słuchawkę. Nie mogli się doczekać, kiedy skończy rozmowę. Dochodziły do nich tylko pojedyncze słowa.

Pete tak bardzo wytężył słuch, że nawet nie zauważył, jak opróżnił cały talerz. Zjadł górę brązowego ryżu, nawet o tym nie wiedząc.

- Może dokładkę? - zapytał Don z zachęcającym uśmiechem i podniósł talerz Pete'a.

- Nie! - wrzasnął Pete, chwytając talerz, zanim Wietnamczyk zdążył go ponownie napęlnić. - Nie, dziękuję - dodał już grzecznie. - To było pysz...

Ugryzł się w język w samą porę. Miał właśnie powiedzieć, że ryż był pyszny, gdy przypomniał sobie, że ryż nie powinien być pyszny, ponieważ pyszne jedzenie jest szkodliwe. Wywołuje złe myśli.

- To było takie zdrowe i pożywne - poprawił się - że już nie dałbym rady zjeść więcej.

Spojrzał szybko w odległy koniec pokoju. Alfred Hitchcock kulejąc wracał do stołu. W ręku trzymał jakąś kartkę.

- No, cóż - rzekł spoglądając na kartkę - udało mi się co nieco dowiedzieć. Ale nie wiem, doprawdy, czy ma to jakieś znaczenie dla waszej sprawy.

- Ale czego się pan dowiedział? - spytał niecierpliwie Jupe.

- To były meksykańskie władze imigracyjne w La Paz, Dolna Kalifornia. Dziesiątego lutego kapitan Carmel i Oskar Slater wpłynęli do La Paz na łodzi kapitana "Lucky Constance". Cumowali w porcie przez dwa dni i opuścili go dwunastego lutego.

Jupe pokiwał głową zasępiony.

- Bardzo panu dziękuję. Łódź kapitana Carmela zatoneła siedemnastego. To oznacza, że kiedy trafili na sztorm, znajdowali się już w drodze powrotnej do San Pedro.

Jupe popatrzył na Boba, a potem na Pete'a.

- A to, z kolei, oznacza, tak mi się przynajmniej wydaje, że jeśli ładunek kalkulatorów, które mieli przemyścić do Meksyku, wciąż znajdował się na pokładzie, to coś...

Jupe zwrócił się do Alfreda Hitchcocka.

- Albo coś im pokrzyżowało szyki i nie mogli dostarczyć kalkulatorów na brzeg, albo

Oskar Slater okłamał Constance mówiąc, że ładunek zatonął z całą łodzią. A co pan o tym sądzi?

- Sądzę, Jupe, że twoje rozumowanie jest słuszne - odparł pan Hitchcock z uśmiechem. - Jedna z moich ulubionych postaci - Alicja w Krainie Czarów - powiedziałaaby, że twoja historia staje się ciekawsza i ciekawsza.

Rozdział 10

Olbrzym bez twarzy

- Czy myślisz, Jupe, że to się da naprawić? - zapytała ciotka Matylda.

Jupiter przyjrzał się starej pralce stojącej na dziedzińcu składu złomu. Wuj Tytus przywiózł ją poprzedniego wieczora. Pożółkła emalia tak popękała, że przypominała Jupe'owi pogniecioną kartkę, której nie da się już rozprostować. Nie chciał nawet myśleć, w jakim stanie będzie silnik.

- Spróbuję, ciociu - obiecał. - Popracuję nad nią dzisiaj.

Ciotka Matylda uśmiechnęła się. Oto stał przed nią chłopak, jej siostrzeniec Jupiter Jones, a obok niego zepsuta pralka - zadanie do wykonania. Połączenie jednego z drugim dawało idealną kombinację, przynajmniej w oczach ciotki Matyldy. Praca i chłopak. Chłopak i praca.

- Postaraj się, Jupe - poprosiła ukontentowana. - A ja przyrządzę ci pyszny obiad.

Jupiter nie miał nic przeciwko spędzeniu całego dnia w składzie. Zarobi trochę grosza i, co ważniejsze, trochę czasu wolnego.

Dwaj pozostali detektywi też zarabiali na czas wolny. Bob - w bibliotece, a Pete - w domu, strzygąc trawnik. Jutro będą mieli cały dzień tylko dla siebie.

Nazajutrz, wcześniej rano, umówili się z Constance w kamiennej zatoczce. Jej meksykańscy przyjaciele mieli przywieźć Fluke'a w samochodzie do holowania. Potem mieli wspólnie rozpocząć poszukiwania zatopionej łodzi.

W ciągu godziny Jupiter podkręcał wszystkie zardzewiałe śruby i wyjął silnik pralki. Umieścił go na swoim warsztacie. Okazało się, że jest w lepszym stanie, niż można by przypuszczać. To musi być jeden z pierwszych powojennych modeli, pomyślał. Co najmniej trzydziestoletni. W tamtych czasach przykładano się do roboty.

Przede wszystkim potrzebny będzie nowy pasek klinowy. Jupe zaczął szukać po całym składzie mocnej gumy. Nagle znieruchomiał. Tak intensywnie rozmyślał nad naprawą pralki, że w pierwszej chwili nie mógł się zorientować, co go zatrzymało. Przy warsztacie migąło czerwone światełko, co oznaczało, że w Kwaterze Głównej dzwoni telefon. Jupiter nie należał do sprinterów. Tym razem jednak odsunięcie kraty, przecięnięcie się przez rurę Tunelu Drugiego, otwarcie kłapy i dopadnięcie do telefonu, nie zajęło mu nawet pół minuty.

- Halo - wysapał ledwie łapiąc oddech. - Jupiter Jones przy aparacie.

- Halo, panie Jones - odezwał się znajomy głos. - Dzwonię, żeby się dowiedzieć, jak

wam idą poszukiwania wieloryba?

Tyle że nie powiedział “wieloryba”, lecz “wielo-o-ry-yba”.

- Cieszę się, że pan dzwoni. Nasze dochodzenie posuwa się szybko naprzód. Z prawdziwą przyjemnością chcę panu zakomunikować, że jutro o siódmej rano Fluke, to znaczy wielo-ory-yb, zgodnie z pańskim życzeniem znajdzie się z powrotem w oceanie.

Po drugiej stronie zapadła głucha cisza.

- Halo? - powiedział Jupe. - Halo?

- To dobra wiadomość, panie Jones. Należą się panu gratulacje.

- Dziękuję.

- I nagroda również. Zdaje się, że wspominałem o sumie stu dolarów?

- Zgadza się, proszę pana. Jeśli poda mi pan swoje nazwisko i adres, wyślę panu rachunek oraz fotografię wieloryba w oceanie na dowód, że wykonaliśmy zlecenie.

- To nie będzie konieczne. Wierzę panu na słowo. A poza tym, tak się układa, że będę musiał wyjechać na kilka tygodni, więc jeśli to możliwe, wolałbym się z panem spotkać dziś wieczorem i zapłacić gotówką.

- To bardzo miło z pana strony - zgodził się Jupe, choć słowa mężczyzny wzbudziły w nim wiele podejrzeń. Dlaczego nie chciał podać swojego nazwiska? Czemu tak pośpiesznie gotów był uwierzyć Jupe'owi na słowo, że zadanie zostało wykonane?

- Gdzie i kiedy możemy się spotkać, proszę pana? - zapytał Jupe.

- Czy wie pan, gdzie jest Burbank Park?

Jupiter wiedział. Przed paru laty było to popularne miejsce wypoczynku. W środku zbudowano dużą estradę, na której odbywały się różne występy i koncerty. Rocky Beach rozwinęło się znacznie od tego czasu, a Burbank

Park pozostał na uboczu. Podupadał coraz bardziej. Alejki zarosły trawą i chwastami, a krzewy i drzewa zmieniły się w dzikie chaszczki. Od dawna też nie rozbrzmiewały w nim dźwięki muzyki. Nikt, przynajmniej ze znajomych Jupe'a, nie odważyłby się wejść do parku po zapadnięciu zmroku.

- Dziś wieczorem o ósmej - zaproponował nieznajomy. - I proszę nie fatygować swoich przyjaciół, panie Jones. Będę czekał na pana przy starej estradzie.

- Proszę pana... - Jupe chciał zapytać, czy mężczyzna nie mógłby wybrać lepszego miejsca na spotkanie, ale nie zdążył. Rozległ się dźwięk odkładanej słuchawki.

Jupe stał chwilę, rozmyślając. Nieznajomy kazał przyjść tylko jemu. To też było bardzo podejrzane. Jupe podniósł słuchawkę i zadzwonił do Boba i Pete'a. Opowiedział im o tajemniczym telefonie i dziwnym miejscu spotkania wyznaczonym przez klienta, po czym

zajął się ponownie pralką. O piątej naprawiony silnik znalazł się na swoim miejscu, przykręcony nowymi śrubami. Jupe zawołał ciotkę Matyldę i kiedy przyszła, włączył pralkę. Najpierw rozległ się chrobot, który stopniowo, wraz z coraz szybszymi obrotami bębna, przekształcił się w straszliwy łomot. Pralka przypominała blaszany kiosk podczas trzęsienia ziemi. Ale działała. Ciotka Matylda nie mogła temu zaprzeczyć.

- Zdolny z ciebie chłopiec, Jupe. Zdolny i pracowity, kiedy przyłożysz się do prawdziwej roboty, zamiast marnować czas na te twoje zagadki i rebusy. Przygotuję ci na deser lody orzechowe.

Po zjedzeniu kolacji i ulubionych lodów orzechowych Jupe wsiadł na rower i popedałował na drugą stronę miasta. Zatrzymał się przy parku Burbank, który przypominał raczej dziewiczą dżunglę niż miejski park. Wyjął z kieszeni kawałek białej kredy i napisał na chodniku duży znak zapytania.

Trzej Detektywi często porozumiewali się w ten sposób. Zawsze mieli przy sobie kredę - każdy innego koloru. Jupe używał białej, Bob - zielonej, a Pete - niebieskiej.

Znak zapytania wybrali nie tylko dlatego, że widniał na ich wizytówce, lecz także ponieważ nie wzbudza on niczyich podejrzeń. Napisany na ścianie domu nie zwraca niczyjej uwagi. Co najwyżej ktoś może pomyśleć, że wymalowało go dziecko.

Jupe znalazł alejkę prowadzącą w głąb parku. Rozpoznał ją po latarniach i równych rzędach krzewów rosnących po obu jej stronach. Środek porastały chwasty. Jupe prowadził rower, zatrzymując się co kilka jardów, żeby wymalować na drzewie lub na połamanej ławce kolejny znak zapytania.

Jupiter Jones nie miał zbyt wybujałej wyobraźni. Rozumował logicznie i praktycznie. Dla niego zarośla to były tylko zarośla. Ktoś inny mógłby na przykład dojrzeć w nich świetną kryjówkę, lecz dla Jupe'a były to tylko krzaki. A jednak w miarę posuwania się w głąb pustego parku Jupiter zaczął odczuwać dziwne wrażenie, jakby wszystko dookoła niego ożyło i starało się go dosięgnąć. Konary drzew zamieniły się w płataninę rąk, a cienkie gałązki na ich końcach przypominały Jupe'owi palce, które próbowały wciągnąć go w ciemności.

Wreszcie dostrzegł estradę. Miała zapadnięty dach, a w szparach między deskami sceny rosły chwasty. Jupe oparł o nią rower i narysował jeszcze jeden znak zapytania na zniszczonej desce.

- Panie Jones.

Jupe wyprostował się tak gwałtownie, że omal nie przewrócił roweru. Wpatrywał się w otaczające go ciemności, lecz nikogo nie mógł dojrzeć.

- Tak? - udało mu się w końcu wykrztusić.

Coś zaszeleściło. Jupe'owi wydało się, że słyszy kroki. Szelest był coraz bliższy. Dopiero kiedy rozległ się tuż-tuż, Jupe odróżnił w ciemnościach sylwetkę mężczyzny.

Był wysoki i miał na głowie miękki kapelusz z nisko opuszczonym rondem. Oczu nie było widać, a rysy twarzy były zamazane jak na nieostrej, starej fotografii.

Jupe mógł określić jedynie jego posturę. Mężczyzna był ogromny. Miał na sobie wiatrówkę opinającą ramiona tak potężne jak u goryla.

- Proszę podejść, panie Jones, a dostanie pan to, po co pan tu przyszedł.

Jupe zrobił parę kroków do przodu. Nagle wielkie łapy mężczyzny chwyciły go za ręce i wykręciły je do tyłu. Jednocześnie napastnik przycisnął Jupe'owi kark tak mocno, że chłopiec niemal zgiął się wpół. Jupe'owi udało się na chwilę zacisnąć dłoń na przedramieniu mężczyzny. Odniósł dziwne wrażenie. Jakby zagłębił palce w hamburgerze.

W tym samym momencie mężczyzna wykręcił mu drugą rękę i zacisnął palce na gardle Jupe'a.

Pierwszy Detektyw był całkiem obezwładniony.

- A teraz zrobi pan dokładnie to, co panu każę, Jones.

Jupe poczuł na uchu oddech mówiącego.

- Rozumiemy się?

Jupe usiłował skinąć głową, ale nie udało mu się.

- Bo jeśli nie, to skręcę panu ka-a-ark.

Rozdział 11

W cztery strony świata!

Jupe zrobił, co mu kazano. Ruszył przed siebie jakąś ścieżką, ale nie tą, którą tu przyszedł. Miał wielką ochotę oznaczyć mijane drzewa znakami zapytania, ale nie mógł nawet sięgnąć po kredę. Napastnik wykręcił mu ręce do tyłu i popychając, prowadził przed sobą.

Wyszli z parku. Mężczyzna wciąż krępując Jupe'owi ręce, otworzył bagażnik poobijanej limuzyny.

- Wskakuj - nakazał ostro.

Jupe rozejrzał się szybko po ulicy, ale wszędzie było pusto. Nikt by nie usłyszał wołania o pomoc. Szybkim ruchem udało mu się oswobodzić rękę, ale uciec nie mógł, ponieważ mężczyzna przyciskał go do samochodu, próbując wepchnąć go do bagażnika. Jeszcze chwila, a straci równowagę i znajdzie się w potrzasku.

- Aaach - Jupe jęknął cicho.

Nogi ugięły się pod nim i upadł twarzą do ziemi, jakby stracił nagle przytomność. Udało mu się wyjąć z kieszeni kredę.

W czasie gdy napastnik zastanawiał się, co robić, Jupe zdążył wymalować pod samochodem duży znak zapytania. Olbrzym był najwyraźniej zaskoczony omdleniem Pierwszego Detektywa.

Nagle Jupe poczuł, jak wielka ręka chwyta go za włosy i podnosi do góry. Wielkolud znów próbował wepchnąć go do bagażnika. Tym razem Jupe stracił równowagę i wpadł do środka.

Bagażnik został zamknięty na klucz i po chwili Jupe poczuł, jak samochód rusza. Było ciemno i ciasno. Pachniało benzyną i olejem napędowym. Ten zapach świadczył, że limuzyna pożera olej. Prawdopodobnie spalała około litra na dziesięć mil. Właściciele takich aut zazwyczaj wożą ze sobą kanister z zapasowym olejem. Jupe wreszcie wymacał palcami to, czego szukał. Wyciągnął swój wspaniały fiński nóż i zrobił nim dziurę w kanistrze.

Metalowa podłoga kufra była miejscami przerdzewiała i Jupe pomagając sobie nożem, szybko wyciął w niej wąski otwór. Wylewał przez niego olej. Rysowanie znaków zapytania było pewnie lepsze, ale olej też zostawiał dość wyraźny ślad.

Samochód jechał bardzo wolno i na szczęście dla Jupe'a niedługo. Opróżnił kanister do połowy, kiedy poczuł, że limuzyna zwalnia, a potem staje. Kufer otworzono i olbrzym

znowu wyciągnął Jupe'a za włosy.

- Wylaź! - warknął.

Jupe, jak mógł najszybciej, wydostał się z kufra. Wolał nie stracić włosów.

Stanął niepewnie na nogach i wtedy zobaczył, że wóz jest zaparkowany przed jakimś walącym się drewnianym domem. Olbrzym wciąż trzymając go za włosy, popchnął Jupe'a w stronę ruiny. Ganek zaskrzypiał pod ich ciężarem. Mężczyzna wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi.

- Właź!

Ostatnie szarpnięcie za włosy i Jupe znalazł się w ciemnym pokoju. Drzwi się zamknęły i zabłysło światło. Jupe zrozumiał, dlaczego w parku nie mógł dostrzec twarzy napastnika. Miał on bowiem naciągniętą na głowę nylonową pończochę. Jupe nie poznałby go, nawet gdyby już wcześniej się spotkali. Podobnie jak nie rozpoznałby go, gdyby spotkali się później.

W świetle mężczyzna wyglądał jeszcze potężniej. Być może pod wiatrówką miał tłuszcz, a nie mięśnie, niemniej wyglądał jak olbrzym.

Jupe rozejrzał się szybko po pokoju. Stało w nim kilka drewnianych krzeseł, zniszczony stół, a na nim telefon. W oknach wisiały podarte zasłony. Żadnych gazet ani magazynów. Puste ściany. Najwyraźniej mężczyzna mieszkał tu od niedawna.

- Tam - nakazał olbrzym. W jego ustach zabrzmiało to "t-a-a-m".

Popchnął Jupe'a w stronę otwartych drzwi w drugim końcu pokoju. Wepchnął go do środka, trzasnął drzwiami i zamknął je na klucz.

Jupe znów znalazł się w ciemnościach. Po omacku zdołał się zorientować, że pomieszczenie jest bardzo małe. Była to prawdopodobnie szafa ścienna.

- Halo.

Usłyszał głos mężczyzny dochodzący z pokoju. Musiał chyba rozmawiać przez telefon. Jupe przywarł do drzwi, nasłuchując.

- Halo. Chciałbym mówić z panną Constance Carmel.

Po krótkiej ciszy głos zabrzmiał ponownie.

- Zapewne chciałaby pani wiedzieć, że pani młody przyjaciel Jupiter Jones jest moim więźniem.

Znów chwila ciszy.

- Nie interesuje mnie okup. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli mały wielo-o-ryb nie wróci natychmiast do oceanu i jeśli nie zaprzestanie pani poszukiwań łodzi ojca...

Następna przerwa była bardzo krótka.

- W takim razie nie zobaczy już pani swojego przyjaciela, pana Jonesa. W każdym razie żywego.

Mężczyzna trzasnął słuchawką.

Trzej Detektywi często znajdowali się w trudnych, a czasem niebezpiecznych sytuacjach podczas rozwiązywania różnych zagadek i tajemnic. Musieli stawić czoło rekinom, leżeli związani w piwnicy domu nawiedzanego przez duchy. Nigdy jednak Jupe nie czuł takiego zagrożenia, jak teraz. Wiedział bowiem, że człowiek w sąsiednim pokoju był gotów spełnić swoje groźby.

Jupe wspomniał Bobowi i Pete'owi, że podejrzewa trzy osoby o odcięcie hamulców w samochodzie Constance. Wymienił Oskara Slatera i Paula Donnera. Trzecim podejrzanym był ów tajemniczy człowiek, który zaoferował im przez telefon sto dolarów za uwolnienie Fluke'a. "Płacę sto dolarów za odnalezienie wieloryba i wpuszczenie go z powrotem do oceanu."

W rzeczywistości ich zadanie miało polegać na uniemożliwieniu Oskarowi Slaterowi odnalezienia przy pomocy Fluke'a łodzi kapitana Carmela. Mężczyzna nie chciał, by to, co znajdowało się na łodzi, wpadło w ręce Slatera.

Skoro już raz próbował zabić Constance i detektywów, co miałyby go powstrzymać od spełnienia gróźb wobec Jupe'a?

Jupe uklęknął przy drzwiach i wyjął swój nóż. Gdyby tylko udało mu się otworzyć zamek...

Mężczyzna był, co prawda, ogromny, lecz głównie dzięki grubej warstwie tłuszczu. Jupe miał okazję poczuć miękkość jego bicepsów.

Może uda się go zaskoczyć...

Jupe wsunął ostrze noża do zamka. Starał się zachowywać jak najciszej. Słyszał, jak mężczyzna przemierza pokój wzdłuż i wszerz. Poruszał nożem w zamku wtedy, gdy deski podłogowe skrzypiały pod nogami olbrzyma.

Nagle rozległ się przeraźliwy trzask, jakby zważyło się wielkie drzewo. Czyżby olbrzym padł na podłogę?

Zamek wreszcie ustąpił i Jupe pchnął drzwi. W tym samym momencie, kiedy znalazł się w pokoju, drzwi frontowe upadły na ziemię, wyważone od zewnątrz. Światło oślepiło Jupe'a i przez chwilę wydawało mu się, iż pokój zappełnił się ludźmi. Pete fruwał pod sufitem na jakimś sprzęcie latającym. Olbrzym przewrócił się na plecy. Bob wpadł rozpedzony przez wyważone drzwi frontowe.

Chwilę później detektywi skoordynowali już swoje działania i przystąpili do wspólnej

akcji, jak dobrze zgrany zespół. Zanim olbrzym zdołał się pozbierać, Jupe z Pete'em wypadli na zewnątrz. Zbiegli z ganku i popędzili dalej chodnikiem. Bob deptał im po piętach.

- W cztery strony świata! - krzyknął Jupe.

Chłopcy używali już kilka razy tego hasła. Oznaczało ono, że detektywi powinni rozproszyć się w różnych kierunkach.

- Tam jest twój rower - wrzasnął Bob do Jupe'a i wszyscy trzej wskoczyli na siodełka.

Kiedy porywacz Jupitera wyskoczył na ganek, po chłopcach nie było już śladu. Pedalowali co sił w nogach, pędząc w ciemności w różnych kierunkach.

Rozdział 12

Dwa drągale

- Początkowo byliśmy zdezorientowani - przyznał Bob. - Kiedy znaleźliśmy przy estradzie twój rower, wiedzieliśmy, że stało się coś złego. Znaki zapytania też tam się kończyły.

Jupe skinął głową.

- Jak to dobrze, że zadzwoniłem do was i powiedziałem, dokąd się wybieram.

Następnego dnia rano Trzej Detektywi spotkali się w kamiennej zatoczce. Mieli ze sobą kąpielówki.

Poprzedniego wieczora, kiedy tylko Jupe dotarł do domu, zadzwonił do Constance, żeby ją uspokoić i zapewnić, że poszukiwania łodzi mogą się rozpocząć zgodnie z planem. Teraz czekali na nią w zatoczce.

- To Bob domyślił się, co zaszło - wyjaśnił Pete. - Kiedy zauważyliśmy ślady oleju na ulicy, a koło nich twój znak zapytania, Bob stwierdził, że pewnie parkował tu jakiś stary gruchot, a potem odjechał razem z tobą.

- Tak, ale to Pete trafił na ślady oleju jakieś sto jardów dalej - dodał Bob. - Potem już poszło gładko. Trzeba było tylko jechać po śladach. W ten sposób natknęliśmy się na starą limuzynę parkującą przed tą rudera.

Bob spojrzał na drogę. Nadjeżdżał nią powoli samochód do holowania. Na bagażniku, owinięty w grube zwoje mokrej gąbki, jechał Fluke. Oczy miał zamknięte i najwyraźniej było mu bardzo wygodnie.

Samochód wjechał powoli do wody, aż po tylną oś. Constance specjalnie wybrała tę ukrytą zatoczkę, ponieważ dno morskie opadało tu bardzo gwałtownie. Zaledwie kilka jardów od brzegu woda była wystarczająco głęboka, by Fluke mógł w niej swobodnie pływać.

Constance i jej meksykański przyjaciel zeskoczyli z szoferki do wody. Dziewczyna miała na sobie mokry kostium kąpielowy, a na szyi maskę do nurkowania. Podeszła do klapy bagażnika i poklepała Fluke'a.

Pete zauważył grubą, płócienną uzdę, leżącą na wierzchu gąbki przykrywającej wieloryba. Razem z młodym Meksykaninem podnieśli płótno i zawiesili je na haku podnośnika. W tym czasie Constance gładziła wieloryba po głowie i przemawiała do niego uspokajająco.

Fluke wcale nie wyglądał na zmartwionego. Kiedy ramię podnośnika uniosło go do

góry, otworzył oczy i poruszał lekko ogonem. Chłopcy wspólnymi siłami przesunęli ramię podnośnika nad wodę, a Meksykanin, siedzący za kierownicą, ostrożnie opuścił wieloryba do oceanu. Fluke był nadal unieruchomiony, ale wcale się nie szarpał. Czekał spokojnie, aż Pete zdejmie uzdę z haka i wtedy wyswobodził się z płóciennych pasów. Popłynął kilka jardów w morze.

Znów był wolny. Wolny w swoim własnym świecie.

- Fluke, poczekaj. Poczekaj, dziecinko - zawołała Constance.

Posłuchał od razu. Obrócił się dookoła swej osi i podpłynął do dziewczyny, która stała po pas w wodzie. Otarł się o nią przyjaźnie, a ona poklepała go po głowie.

- W porządku - zwróciła się do swojego meksykańskiego przyjaciela. - Muchas gracias.

Meksykanin uśmiechnął się i wspiął do szoferki.

- Buena suerte - krzyknął na odjeźdźnym.

- Gotowi? - spytała Constance Trzech Detektywów. Spojrzała na morze. Sto jardów od brzegu kołysał się na falach jacht Oskara Slatera. - Jupe, weź ze sobą magnetofon. Pewnie nie będzie nam potrzebny. Fluke nie odpłynie ode mnie, prawda, Fluke? Ale weźmy go na wszelki wypadek.

- Constance - powiedział Jupe i wszedł do wody. Bob i Pete też podeszli do dziewczyny.

- Co się stało, Jupe?

- Tak sobie myślę, że może lepiej będzie, jeśli Bob zostanie na brzegu z magnetofonem.

- Dlaczego?

Jupe wyjaśnił jej, że istnieje prawdopodobieństwo, iż Oskar Slater zdołał jednak upłynnić kalkulatory w Meksyku. W takim wypadku będzie się starał, aby Constance nie dostała należnej jej części tego, co znajduje się na łodzi. Może będzie usiłował porwać Fluke'a? W tej sytuacji Bob byłby ich zabezpieczeniem.

Constance słuchała z uwagą.

- Czy jesteś całkowicie pewien tych dat? - zapytała.

- Całkowicie. Nasz przyjaciel sprawdził je w meksykańskim Biurze Imigracyjnym. Łódź z całą pewnością zawinęła do La Paz.

Constance zastanawiała się przez chwilę.

- OK - powiedziała w końcu, nakładając maskę. - Chyba poradzimy sobie jakoś bez Boba. Dalej, Fluke.

Odwróciła się i szybko wypłynęła na morze. Fluke płynął u jej boku. Jupe został nieco w tyle. Pete wrócił na plażę i podniósł zalakowaną plastikową torebkę przywiezioną przez Jupe'a. Odwrócił się tyłem do Boba, by ten mógł przywiązać mu torebkę do kąpielówek. W środku było walkie-talkie.

- Dasz radę z tym płynąć? - spytał Bob.

- Pewnie. Teraz jest trochę ciężkawe, ale w wodzie straci na wadze.

Bob patrzył, jak przyjaciel zanurza się w oceanie. Pete miał rację. Kiedy woda sięgała mu do pasa, torba z walkie-talkie zaczęła unosić się na falach. Pete rzucił się do wody i popłynął zabką. Wkrótce dogonił Jupe'a.

Bob wrócił na plażę. Podniósł wodoszczelne metalowe pudełko z magnetofonem, po czym podszedł do roweru i z przywiązanego do niego swetra wyjął drugie walkie-talkie. Wyciągnął antenę i włączył ją na ODBIÓR. Następnie znalazł suchą skałę, włożył sweter i usiadł na niej, trzymając walkie-talkie na kolanach. Pudełko z magnetofonem postawił obok siebie. Zobaczył, że Constance z Flukiem dopłynęli już do łodzi Slatera.

- Witam na pokładzie - powiedział Slater, wyciągając rękę, żeby pomóc dziewczynie wejść na łódź. Udała, że tego nie widzi.

- Zostań, Fluke. Dobry Fluke, poczekaj na mnie.

Złapała obiema rękami drewniany reling i zwinnym ruchem wspięła się na pokład. Zaraz za nią wdrapał się Jupe, choć kosztowało go to nieco więcej wysiłku. Pete płynął na plecach kilka jardów od jachtu.

- Czy możemy sprawdzić sprzęt, panie Slater? - zapytał Jupe.

- Oczywiście.

Slater zaprowadził ich do kokpitu i pokazał małą hermetyczną kamerę filmową. Jupe obejrzał ją dokładnie i popatrzył przez wizjer.

- Czy jest pan pewien, że ta kamera będzie pracowała pod wodą? - zapytał Slatera.

- Oczywiście. Constance wypożyczyła ją ze "Świata Oceanu". Tam jest używana stale. - Ostatnie słowo wymówił "sta-a-a-le". - Czy masz jeszcze jakieś głupie pytania, chłopcze?

Jupe przygotował sobie sporo takich pytań, żeby Pete mógł niepostrzeżenie dostać się na pokład i schować walkie-talkie w skrytce na rufie. Jupe, kiedy chciał, potrafił być całkiem niezłym aktorem. A do jego ulubionych ról należało zgrywanie głupka.

- Zastanawiam się tylko, jaki zasięg będzie miała pod wodą? Na jaką odległość Fluke będzie mógł się oddalić od łodzi?

- Do pięćdziesięciu jardów wszystko będzie w porządku - odparł Slater poirytowany. -

Czy Constance nie wyjaśniła ci wszystkiego?

- Wyjaśniła. Tylko że jeśli przymocujemy reflektor do głowy Fluke'a... Dalej już nie musiał się wysilać. Pete stał na rufie i przesunął ręką po mokrych włosach. Był to sygnał, że zadanie zostało wykonane. Plastikowa torba znalazła się w bezpiecznym miejscu.

- Ach, tak, tak to bardzo silny reflektor - odpowiedział sam sobie Jupe.

- Więc bierzcie się do roboty - warknął Slater.

Constance pochylona nad Flukiem, poklepywała go po głowie i coś do niego mówiła łagodnym, uspokajającym głosem.

- A gdzie jeszcze jeden dzieciak? - zapytał ją Slater. - Zdaje się, że było ich trzech.

- Bob jest bardzo przeziębiony - wyjaśnił Pete. - Zostawiliśmy go na brzegu. Pomyśleliśmy...

- OK - przerwał mu Slater i odwiązał linę utrzymującą ster w pozycji "na wprost". Położył rękę na rozruszniku silnika. - Jak szybko może płynąć ta ryba? - zwrócił się do Constance.

- On nie jest rybą - odparła chłodno. - Fluke jest cywilizowanym ssakiem o wysokiej inteligencji. I jeśli ma ochotę, może płynąć z szybkością co najmniej piętnastu mil na godzinę. Ale wolałabym, żeby trzymał pan prędkość łodzi w granicach ośmiu węzłów. Nie chcę, żeby Fluke za bardzo się zmęczył.

- W porządku. - Slater włączył silnik i wypłynęli w morze. Constance wychylona z pokładu, mówiła coś do wieloryba, który płynął baraszkując koło jachtu. Nurkował i z gracją wyskakiwał łagodnymi łukami.

- Chłopcy ze straży przybrzeżnej powiedzieli, że znaleźli nas jakieś pięć mil od brzegu - rzekł Slater.

Jupe spojrział na Pete'a. Miał ochotę zadać jeszcze kilka ważnych pytań, ale ponieważ podjął się udawania przygłupa, wołał, żeby zadał je Pete.

- Jak długo? - Jupe poruszył bezgłośnie ustami.

Pete zrozumiał go od razu.

- Jak długo przebywaliście w wodzie? - zapytał Slatera.

- Co najmniej dwie godziny.

- Przyływ - poruszył ustami Jupe.

- Czy było to w porze przyływu, czy odpływu? - zapytał Pete.

- Ściemniało się. A fale były tak duże, iż trudno było cokolwiek zobaczyć. Czasami udawało mi się jednak dojrzeć kawałek brzegu, ale za każdym razem stawał się coraz dalszy, mimo naszych wysiłków, by płynąć w jego kierunku. Przypuszczam więc, że trafiliśmy

akurat na odpływ.

Dwie godziny, zastanawiał się Jupe. Przypomniał sobie noc, kiedy szalał sztorm. Nawałnica nadeszła z północnego zachodu. Wiatr pewnie znosił ich wzdłuż linii brzegu. Kamizelki ratunkowe utrudniały kapitanowi Carmelowi i Oskarowi Slaterowi walkę z falą odpływu. Jupe wyliczył, że w ciągu dwóch godzin mogło ich znieść jakieś dwie mile w głąb morza. Pochylił się do Pete'a i szepnął mu coś do ucha.

- Wydaje mi się, że łódź poszła na dno jakieś trzy mile od brzegu - powiedział Pete do Slatera.

- Jak do tego doszedłeś?

- Wiatr i jeszcze inne rzeczy - odrzekł Pete wymijająco.

- Może i masz rację. Ja doszedłem do podobnego wniosku. - Slater popatrzył na zegarek i zrobił jakieś własne obliczenia. Zmniejszył nieco prędkość, z jaką płynęli.

- Chyba właśnie znajdujemy się około trzech mil od brzegu - odezwał się wreszcie.

- Może pora nałożyć twojemu ssakowi uzdę - zwrócił się do Constance. - Przeszukamy dno w tej okolicy.

Ustawił łódź tak, by dryfowała łagodnie wzdłuż linii brzegu.

- Fluke - zawołała Constance. - Chodź tu, Fluke. - Sięgnęła po płócienną uzdę leżącą na pokładzie. Już wcześniej przytrzymała do niej kamerę i reflektor. Ześliznęła się do wody i nałożyła ją Fluke'owi na głowę.

Jupe skubał dolną wargę. Trzy mile? Tylko w którym miejscu? Według informacji Slatera łódź mogła zatonać w dowolnym miejscu wzdłuż dziesięciomilowej linii wybrzeża. Jeśli nie uda się bliżej określić miejsca wypadku, to ich wysiłki będą przypominały szukanie igły w stogu siana.

Constance umieściła kamerę i reflektor na głowie Fluke'a i wróciła na pokład. Jupe podszedł do niej.

- Czy ojciec nie mówił ci czegoś o tamtej nocy, kiedy szalał sztorm?

Constance pokręciła przecząco głową.

- Niczego, co miałoby jakiś sens. Zresztą wszystko ci już powtórzyłam.

Jupe przypomniał sobie. To było coś o wystrzeganiu się dwóch drągali. Nie było to nic konkretnego. Mogło nawet dotyczyć zdarzeń sprzed lat.

Jupe wpatrywał się w linię brzegową odległą o trzy mile. Nie była zbyt urozmaicona. Wysoki brzeg zasłaniał cały widok. Jedynie w oddali ciemniał na horyzoncie łańcuch gór. Na urwistym brzegu stało kilka samotnych domów. W jednym miejscu wyrastał znienacka jakiś biurowiec. Na innym wzgórzu widać było wieżę stacji telewizyjnej. Nieco dalej w prawo było

coś, co przypominało komin fabryczny.

- Pete, wskakuj lepiej w kąpielówki - nakazała Constance. - Sprawdzimy pojemniki z powietrzem, żeby już wszystko było gotowe do nurkowania z Flukiem.

Pete skinął głową i poszedł do kokpitu, gdzie leżał sprzęt do nurkowania. Jupe wciąż wpatrywał się w linię brzegową. Tak mocno ciągnął dolną wargę, że dosięgał nią niemal do brody.

Diego Carmel był doświadczonym wilkiem morskim. Z całą pewnością, kiedy zorientował się, że łódź tonie, próbował znaleźć jakiś punkt orientacyjny na brzegu, według którego mógłby potem jej szukać. Gdyby tylko mógł mówić...

Jupe przenosił wzrok z wieży telewizyjnej na komin i z powrotem. Nagle wyobraził sobie, jak musiały wyglądać o zmroku, podczas burzy.

- Dwa drągale... dwa drągi.

Chwycił Slatera za ramię. Przeszła mu ochota na udawanie głupka.

- Uważać na dwa drągi jednocześnie! - krzyknął podekscytowany.

- Co? Co ty bredzisz, chłopcze?

- Kiedy łódź zaczęła tonąć, kapitan Carmel próbował znaleźć na brzegu jakieś punkty orientacyjne. Zauważył wieżę telewizyjną, a za nią komin fabryczny.

- I co z tego?

- Czy pan nie rozumie? - Jupe'owi wydało się, że tym razem Slater udaje głupiego. - Żeby odnaleźć wrak, musimy ustawić naszą łódź w takim położeniu, by patrząc na brzeg, widzieć oba punkty orientacyjne, te dwa drągi, w jednej linii, jeden za drugim!

Rozdział 13

Groźne głębiny

Jupe stał na dziobie i obserwował przez lornetkę brzeg oddalony o jakieś trzy mile. Łódź wolno płynęła wzdłuż wybrzeża. Wraz ze zmianą jej położenia, wieża telewizyjna i komin fabryczny zbliżały się do siebie. Jeszcze sto jardów, pomyślał Jupe.

- Proszę jeszcze zwolnić - zawołał Jupe do Slatera, który trzymał ster. - I tak trzymać.

Blżej, coraz bliżej. Zrównały się. Wysoki komin znalazł się dokładnie za wieżą.

- Tutaj - krzyknął Jupe. - Proszę zatrzymać łódź! - Jupe skierował lornetkę na wodę. Była zbyt głęboka, żeby zarzucić kotwicę. Należało trzymać silnik na wolnych obrotach, żeby przyływ nie znosił łodzi. Slater obrócił łódź dziobem do brzegu. Jeszcze kilka minut wcześniej Jupe uważał go za tępaka, lecz teraz przekonał się, że w łysej głowie było sporo oleju. Slater prowadził łódź jak zawodowiec.

- W porządku, Pete? - Constance przymocowała Pete'owi na plecach butlę tlenową. Drugi Detektyw nałożył maskę, a dziewczyna sprawdziła ciśnieniomierz i rurę oddechową. Ciśnieniomierz wskazywał, że butla była pełna. Pete poczłapał niezdarnie na płetwach na brzeg pokładu. Constance usiadła na burcie tyłem do wody i powoli zanurzyła się w oceanie. Pete wskoczył zaraz za nią. Kilka stóp pod powierzchnią wyprostował całe ciało i ułożył się twarzą w dół. Starał się przypomnieć sobie wszystko, czego uczono go o nurkowaniu. Oddychać ustami, żeby mu maska nie zaszła mgłą. Sprawdzać, czy rura oddechowa nie zagięła się w którymś miejscu. Nie opuszczać się na większą głębokość, zanim temperatura wewnątrz skafandra nie zrówna się z temperaturą ciała. Im większa głębokość, tym zimniejsza woda i większe ciśnienie. Przy najmniejszym nawet zawrocie głowy wynurzyć się na powierzchnię, ale nie za szybko.

Przez kilka minut Pete pływał w kółko, jakieś trzy stopy pod powierzchnią wody. Poruszał leniwie płetwami, starając się maksymalnie rozluźnić mięśnie i przyzwyczać do przebywania w podwodnym świecie.

Uwielbiał nurkowanie. Po nałożeniu pasa balastowego, który równoważył się wypierającą ciało do góry, odnosił wrażenie, że fruwa. Fruwa jak ptak. W takich chwilach czuł się prawdziwie wolny.

Constance i Fluke pływali niedaleko. Pete podniósł rękę i połączył kciuk z palcem wskazującym, tworząc kółko, co oznaczało, że jest gotów do nurkowania.

Constance poklepała Fluke'a po grzbiecie. Wieloryb zanurkował, oświetlając sobie

drogę silnym reflektorem. Opuszczał się coraz głębiej. Ani Pete, ani nawet Constance nie byli w stanie zejść tak głęboko.

Jupe wpatrywał się w ekran telewizora stojącego w kokpicie. Slater, za sterem, też nie odrywał od niego wzroku. Jupe był zafascynowany. Miał wrażenie, jakby patrzył na transmisję z sondy kosmicznej. Krąg światła widoczny na ekranie zdawał się badać niebo, zamglone, czasem zachmurzone, przez które chwilami przemieszczały się ławice ryb przypominające chmary owadów. Kiedy Fluke odpływał zbyt daleko od łodzi, światło bladło. Slater natychmiast sterował w stronę łądu pilnując, by komin i wieża znajdowały się na jednej linii. Gdy światło znów stawało się mocniejsze, zatrzymywał łódź.

Na ekranie pojawił się piach, żwir i płatanina wodorostów. Fluke dosięgnął dna oceanu. Kamera telewizyjna umieszczona na jego głowie filmowała je kawałek po kawałku.

Pete'a dzieliła od Fluke'a duża odległość. Nie odważył się zejść tak głęboko. Pamiętał z lekcji nurkowania, że kiedy ciśnienie pod wodą stanie się zbyt wielkie, nurek zaczyna doświadczać dziwnych wrażeń. Czuje się tak, jakby był pijany. Staje się zbyt pewny siebie, robi różne nie przemyślane rzeczy, które mogą się dla niego skończyć tragicznie.

Jupe widział odbłask reflektora Fluke'a gdzieś daleko w głębinach. Takiemu Fluke'owi to dobrze, pomyślał. Potrafi się przystosować do przebywania na dużych głębokościach. Niektóre wieloryby, jak twierdzi Constance, mogą nurkować nawet na głębokość mili i pozostawać pod wodą niemal godzinę.

Pete uniósł rękę, aby poprawić rurę oddechową. Przesunął po niej palcami, aż do butli z tlenem. Dziwne, pomyślał. Nie znalazł żadnego zagięcia, a mimo tego...

W panice jeszcze raz przejechał ręką po całej rurze. Gdzieś musiała się zgiąć, ponieważ ustał dopływ tlenu. Nie mógł oddychać. Ścisnął klamrę pasa balastowego. Wstrzymaj oddech, nakazał sobie w myślach. Zdejmij pas. Wstrzymaj oddech i wynurzaj się. Tylko nie panikuj, idioto. Odepnij tę klamrę.

Niestety, palce odmówiły mu posłuszeństwa. Z oczami też zaczęło się dziać coś dziwnego. Zdawało mu się, że woda wokół niego powoli zmienia kolor, z jasnorożowego aż po ciemną czerwień. W końcu pociemniała tak bardzo, że stała się niemal czarna.

Pete próbował przedrzeć się w górę przez tę ciemność. Było tylko złapać trochę powietrza... Z całych sił kopał płetwami wodę...

Nagle pojaśniało mu przed oczami. Poczł mocne uderzenie w klatkę piersiową. Coś wielkiego i potężnego jak buldożer uniosło go i zaczęło wypychać na powierzchnię oceanu. Nawet nie próbował się opierać. Ostatkiem sił przywarł całym ciałem do tej wielkiej masy.

Wreszcie poczuł, jak przebija głową powierzchnię wody. Jednocześnie czyjaś ręka

zerwała mu z twarzy maskę. Otworzył szeroko usta i pełną piersią zaczerpnął powietrza.

Ciemna czerwień powoli znikła mu sprzed oczu. Spojrzał pod siebie i zobaczył jakąś szarą płachtę. Po chwili rozpoznał ją - płócienna uzda, reflektor, kamera filmowa. Zrozumiał, że leży rozciągnięty na grzbiecie Fluke'a. Obok pływała Constance. To ona zerwała mu z twarzy maskę.

- Nic nie mów - nakazała. - Tylko oddychaj głęboko. Zaraz wrócisz do siebie.

Pete posłusznie wykonał polecenie. Leżał spokojnie z policzkiem przytulonym do Fluke'a. Stopniowo oddychanie sprawiało mu coraz mniejszą trudność. Przestał dyszeć. Okropna czerwień wreszcie zniknęła mu sprzed oczu. Poczł się silny na tyle, by się odezwać. Lecz przed zadaniem pytania o to, co się właściwie stało, miał coś ważniejszego do powiedzenia.

- Uratowałeś mi życie, Fluke.

- Ty też go uratowałeś, pamiętasz? - powiedziała Constance, klepiąc Fluke'a po głowie. - On nie zapomina takich rzeczy...

Przerwała na widok podpływającej łodzi. Jupe, który stał przy sterze, wyłączył silnik. Oskar Slater wychylał się za burtę.

- Widziałem ją - krzyknął. Z emocji aż spociła mu się łysina. - Tylko na moment pojawiła się na ekranie, ale jestem pewien, Constance, że i to była właśnie łódź twojego ojca.

Odwrocił głowę do Jupe'a.

- Zatrzymaj się w tym miejscu. Wrak musi być dokładnie pod nami. Przesunął się przez ekran, w chwili gdy Fluke zawracał, żeby wypłynąć. A potem zobaczyłem Pete'a. To musi być właśnie tutaj.

- To jest teraz nieważne - przerwała mu ostro Constance. - Musimy wciągnąć Pete'a na pokład i sprawdzić, co się stało.

- Ale mówię ci, że ... - Slater aż uderzył pięścią w burtę.

- Później - powiedziała Constance niewzruszona. - Proszę zająć się sterem, panie Slater. - A ty, Jupe, chodź tu i pomóż nam.

Slater zawahał się, ale szybko zrozumiał, że Constance ma tu głos decydujący. Przynajmniej na razie. Bez jej pomocy nigdy nie uda mu się wydobyć ładunku z zatopionej łodzi. Skinął głową i z ponurą miną wymienił Jupe'a przy sterze.

Jupe z Constance wciągnęli Pete'a na pokład. Pete, wciąż bardzo osłabiony, usiadł oparty o burtę, a Constance pobiegła po kubek gorącej kawy. Jupe w tym czasie zdejmował mu z pleców butlę tlenową.

- OK. A teraz powiedz, co się stało - poprosiła Constance. - Zauważyłam, że dzieje się

z tobą coś złego, ale nie wiedziałam co. To nie mogło być ciśnienie. Nie zszedłeś aż tak głęboko. Co to było?

- Po prostu nie mogłem oddychać - odparł Pete, popijając kawę. Miała cudowny smak.

- Pomyślałem, że rura od butli musiała się gdzieś zgiąć, ale myliłem się.

Pete opisał, jak woda zrobiła się czerwona, a potem czarna.

- Dwutlenek węgla - orzekła Constance. - Oto co wdychałeś zamiast tlenu.

Uniosła butlę i otworzyła zawór. Nie było żadnego syku.

- Nic dziwnego, że nie mogłeś oddychać. Butla jest pusta.

- Ale przecież sprawdzaliśmy ją.

Jupe popatrzył na ciśnieniomierz. Wskazówka nadal pokazywała, że butla jest PEŁNA.

- Wygląda na to, że ktoś zablokował ciśnieniomierz - stwierdził Jupe. - A potem spuścił powietrze.

Constance zgodziła się z tym. Nie znajdowała innego wyjaśnienia.

- Skąd wzięliście ten sprzęt? - spytał Jupiter.

- Ze "Świata Oceanu". Przywiozłam go osobiście wczoraj wieczorem i absolutnie wszystko było w porządku.

Podeszła do Slatera.

- Ktoś celowo wypuścił powietrze z butli Pete'a. Chcę wiedzieć...

- Chyba nie sugerujesz, że to ja? - warknął gniewnie Slater. - Ja chcę tylko wydobyć ten towar. Nawet nie dotknąłem waszego sprzętu. Po co miałbym to robić? Uważasz, że bawi mnie opóźnianie całej sprawy? Chcę tylko...

Podniecony mówił dalej o tym, czego by chciał. Znajdowali się dokładnie nad zatopioną łodzią. Kalkulatory były w kabinie, zamknięte w metalowej skrzynce. Włożył w nie wszystkie swoje pieniądze. Czemu miałby opóźniać wydobywanie skrzynki?

Jupe był pewien, że Slater nie kłamie co do jednego - nie miał żadnego interesu w uszkodzeniu zbiornika z powietrzem. Komuś jednak na tym zależało.

- Panie Slater, czy ktoś mógł dostać się na pokład wczoraj wieczorem lub dziś rano? - zapytał.

- Nie. Łódź cumowała w zatoce, a ja spałem na pokładzie. Po odejściu Constance nie wychodziłem na ląd.

- Miał pan jakichś gości?

- Nie. Odwiedził mnie jedynie stary przyjaciel, Paul Donner. Wypiliśmy po drinku. Ale nie wierzę, aby Paul...

- Jak długo zna pan Paula Donnera? - przerwał mu Jupe. - Kim on jest? Co pan w ogóle o nim wie?

- Pytania. Wciąż te idiotyczne pytania. - Slater przejechał dłonią po spoczonej łysinie. - Teraz to i tak nie ma znaczenia. Bierzmy się do roboty i wyciągnijmy skrzynkę...

- Proszę mu odpowiedzieć - Constance stanęła koło Slatera i oparła ręce na biodrach. - Odpowie pan na wszystkie pytania Jupe'a. I to zaraz. Bo jeśli nie, to może się pan pożegnać ze swoją skrzynką.

- OK - zgodził się Slater niechętnie. - Od jak dawna znam Paula Donnera? Czy tak brzmiało twoje pytanie? Jupe skinął głową.

- Poznałem go w Europie kilka lat temu. Prowadziliśmy tam wspólne interesy. A potem spotkałem go ponownie w Meksyku.

- Kiedy?

- Kilka razy.

- Podczas pana ostatniego pobytu w Meksyku?

- Tak, chyba tak. Prowadził w La Paz jakąś małą drukarnię. Zналиśmy się z dawnych czasów, więc kiedy wpadałem do La Paz, zawsze go odwiedzałem. Czy widzisz w tym coś złego?

Jupe milczał przez chwilę.

- Czy coś jeszcze, Jupe? - ponagliła go Constance.

- Nie, to już wszystko, co chciałem wiedzieć.

- To dobrze. - Slater zwrócił się do Constance. - Czy możemy zająć się naszymi poszukiwaniami?

- Jak tylko sprawdzę moją butlę z tlenem.

Constance podeszła do swojego sprzętu i otworzyła zawór zbiornika z powietrzem. Rozległ się syk. Najwyraźniej złoczyńcy zabrakło czasu na uszkodzenie wszystkich butli. Albo liczył na to, że jeden poważny wypadek zniechęci towarzystwo do dalszych poszukiwań. Jupe podszedł do Constance.

- Zanim oddamy skrzynkę Slaterowi, sprawdźmy lepiej, co zawiera - szepnął.

Constance odparła po chwili zastanowienia:

- Dobrze, Jupe. Zrobimy, jak chcesz.

- Dzięki.

Jupe był jej wdzięczny za zaufanie. Sądził bowiem, że jest już bliski rozwiązania całej zagadki.

Zablokowany ciśnieniomierz. Stary przyjaciel Slatera, Paul Donner. Wyprawa do La

Paz. Fałda pod okiem Donnera przypominająca bliznę.

Wszystkie elementy zaczynały układać się w logiczną całość.

Rozdział 14

Piosenka Fluke'a

- Nie dotrę do łodzi. Jest za głęboko. - Constance stała w kokpicie twarzą do Slatera.

- A więc w jaki sposób...?

- Proszę mi nie przerywać, panie Slater. Proszę tylko odpowiadać na pytania.

Potrzebne mi są dokładne informacje. OK?

Jupe zauważył, że Slater popatrzył na Constance gniewnym okiem.

- A więc następne pytania? No, niech będzie. Co chcecie jeszcze wiedzieć?

- Gdzie dokładnie znajduje się skrzynka z kalkulatorami?

- Jedyne cenne przedmioty na tej łodzi... - Slater próbował patrzeć Constance prosto w oczy - znajdują się w kajucie pod koją.

- Czy nie zostały porwane przez fale?

- Nie - Slater unikał teraz spojrzenia Constance. - Twój ojciec próbował spuścić szalupę ratunkową. Chcieliśmy zabrać skrzynkę ze sobą, ale okazało się, że nie ma już na to czasu. Łódź zaczęła tonąć... - wzruszył ramionami. - Musieliśmy ją zostawić.

- Czy zamknęliście kajutę?

- Nie. Drzwi się zacięły i zostawiliśmy je otwarte na oścież. No, wiesz...

Constance skinęła głową. Wypływała z ojcem w morze, odkąd skończyła dziesięć lat. Znała każdy kąt na łodzi.

- Tak, wiem. To te grube mosiężne zawiasy. Tata używał ich do przytrzymywania drzwi, kiedy schodził na dół po piwo.

- Taaak. - Slater znów spojrział Constance w oczy.

- A jak wygląda ta skrzynka?

- Jest ciemnozielona, stalowa. Ma jakieś dwie stopy długości i stopę szerokości. Głęboka na jakieś dziewięć cali.

- Czy ma jakiś uchwyt?

- Taaak. Taki... taki jak w kasetkach na pieniądze - metalowy uchwyt na wieczku.

- Będzie nam potrzebna linka - Constance zawahała się. Pewnie chce znaleźć jak najlepszy sposób wydobycia skrzynki z dna łodzi, pomyślał Jupe. - Porządna, gruba linka i metalowy wieszak na ubrania.

- W porządku.

Jupe przejął ster, żeby Slater mógł poszukać potrzebnych przedmiotów. Constance wygięła wieszak tak, iż utworzył romb. Następnie zgięła jego uchwyt pod kątem prostym do

ramienia.

Później zwinęła w pętlę nylonowy sznurek, a jego koniec przywiązała do wieszaka.

- OK. Teraz jestem gotowa.

Pete podniósł się.

- Jeśli chcesz...

Nie miał już ochoty na nurkowanie. Po tym, co zaszło, na długo odechciało mu się nurkowania. Czuł jednak, iż powinien zaoferować swoją pomoc. Nie umiał tego wytłumaczyć, ale wiedział, że jeśli nie wystąpi z taką propozycją, straci o sobie dobre mniemanie.

- Jeśli chcesz, popłynę z tobą.

Constance uśmiechnęła się.

- Nie, Pete. Zostaniesz tutaj. Wolę, żebyś był na pokładzie, gdyby coś się stało.

Pete posłał jej uśmiech pełen wdzięczności. Najprawdopodobniej Constance uważała, iż nie poradziłby sobie. Ale ujęła to w taki sposób, że Pete wcale nie poczuł się urażony. Patrzył, jak dziewczyna przewiesza sobie przez ramię nylonowy sznur, poprawia maskę, robi wolny przewrót w tył i znika w oceanie.

Fluke, który drzemał w pobliżu łodzi, na widok Constance otworzył oczy i ruszył jej na spotkanie. Dziewczyna poklepała go po głowie, przytulając do niej twarz. Pete widział, że przemawia do małego wieloryba, ale byli za daleko, żeby słyszeć słowa.

Kiedy później rozmyślał o całej przygodzie, nie potrafił sobie wytłumaczyć, w jaki sposób Constance wyjaśniła Fluke'owi, co ma robić. Być może nie potrzebowali słów, żeby się rozumieć. Przypomniał sobie, co czuł, obserwując ich zabawę w basenie Slatera. Wydawali się tak zaprzyjaźnieni i tak ufni wobec siebie, jakby istniało pomiędzy nimi jakieś telepatyczne porozumienie. Jeśli Constance czegoś chciała, Fluke zdawał się odgadywać jej myśli.

Pete patrzył, jak się zanurzają. Constance obejmowała Fluke'a ramieniem. Zanurkowali tak, jakby tworzyli jedno ciało.

Jupe nie odrywał oczu od monitora w kokpicie. Nagle pojawił się na nim krąg światła. To Constance włączyła reflektor na głowie Fluke'a. Światło przebijało się coraz głębiej i głębiej. Jakaś ławica małych ryb przemknęła i przez ekran. I ponownie tego dnia zobaczyli dno oceanu. Piasek, żwir, skały pokryte skorupiakami.

Slater, stojący za sterem, wyprostował się raptownie, wyraźnie czymś i poruszony. Kamera Fluke'a natrafiła na rufę łodzi.

- Jest. - Pete stanął obok Jupe'a.

Rufa na ekranie stawała się coraz większa. Krąg światła zaczął się teraz przesuwając wzdłuż burty. Jupe zauważył koło sterowe. Światło zmętniało, by po chwili znów się pojawić, jaśniejsze niż przedtem. Jupe'owi udało się rozróżnić kształty fotela.

Fluke wpłynął wprost do kajuty.

Przez kilkanaście sekund obraz skakał i trudno było rozpoznać poszczególne przedmioty. Jupe czuł, jak Slater aż drży z niecierpliwości.

Obraz z wolna uspokoił się. Kamera skoncentrowała się na jednym przedmiocie. Widać go było coraz wyraźniej. Była to metalowa skrzynka.

- Jest! - Slater aż położył się na sterze, jakby próbował chwycić monitor.

Skrzynka stawała się coraz większa. A kiedy Fluke podpłynął do niej tuż-tuż, wypełniła cały ekran. Nagle zniknęła. A w kręgu światła ukazało się coś białego.

Czyżby kamera się zepsuła? Po chwili Jupe zrozumiał, co się stało. Fluke wsadził głowę pod koję, a obiektyw skierowany był teraz na biało pomalowane wezłowie.

Przez pewien czas obraz pozostawał nie zmieniony. Potem znów przez ekran zaczęły się przesuwające różne przedmioty. Zbyt szybko jednak, by można było rozpoznać ich kształty. Jupe'owi zdawało się, że zobaczył w kręgu światła nadburcie łodzi.

Wszystko zniknęło i na ekranie pojawił się znajomy widok światła przebijającego warstwy wody. Fluke wracał na powierzchnię.

- Głupie zwierzę - warknął cicho Slater, zaciskając ręce na kole sterowym. - Nawet nie próbował wydostać skrzynki. - Wściekły odwrócił się od steru i popatrzył na brzeg.

Jupe nie patrzył na niego. Zobaczył coś, co uszło uwagi Slatera. Na ekranie pojawiła się na moment Constance. Wyciągnęła rękę w stronę obiektywu i ekran pociemniał. Constance wyłączyła kamerę.

- Hej, przejmij stery - nakazał Slater Pete'owi, chwytając go za rękę. - I staraj się utrzymać łódź w miejscu.

Jupe zobaczył, że Slater biegnie w stronę burty. Wolno ruszył za nim, ale nie stanął koło Slatera przy burcie. Minął go i przeszedł na rufę. Czekał wpatrzony w powierzchnię wody. Nie trwało to długo. Jakies dwadzieścia jardów od łodzi ukazała się nagle głowa Constance. Jupe od razu zauważył, że nylonowy zwój zniknął z jej ramienia. Obok płynął Fluke. Kiedy wynurzył się bardziej, Jupe zauważył coś jeszcze - Fluke nie miał na głowie kamery ani reflektora. Zastąpiła je mała, zielona skrzynka.

Jupe otworzył szybko schowek przy rufie i wyjął z niego zalakowaną plastikową torbę, którą wcześniej ukrył tam Pete. Rozerwał torbę i wyjął z niej walkie-talkie. Wyciągnął antenę na całą długość i nastawił aparat na NADAWANIE.

- Bob - powiedział szybko do mikrofonu. - Bob, włącz muzykę. Spojrzał na Slatera.
Łysiec niemal cały wychylił się nad burtą.

- Podaj mi ją! - wrzasnął do dziewczyny. - Podaj mi skrzynkę, słyszysz!

- Bob, włącz muzykę! - powtórzył głośno Jupe. - Włącz piosenkę Fluke'a!

Rozdział 15

Zagubiona skrzynka

- W porządku, Jupe. Bez odbioru.

Bob wyłączył walkie-talkie i położył aparat obok siebie na skale. Po łodzi Slatera nie było śladu i Bob nie miał pojęcia, w jakiej odległości od brzegu może się ona znajdować. Pamiętał jednak z lektury w bibliotece, że wieloryby mają niezwykle wrażliwy słuch. Układ ich ucha zupełnie nie przypomina ludzkiego. Na zewnątrz są to małe wypustki skórne, tuż za oczami. Ucho wewnętrzne natomiast jest bez porównania lepiej rozwinięte od ludzkiego. Może ono wychwycić echo własnego głosu wieloryba odbite od obiektów oddalonych o całe mile. Na jego podstawie zwierzęta te są w stanie określić kształt i rozmiary tych obiektów. Pod wodą potrafią też odbierać pozdrowienia lub odgłosy zaniepokojenia innych osobników swojego gatunku, pomimo dzielących je czasem wielkich odległości.

Bob zdjął sweter i tenisówki. Sięgnął po wodoszczelny pojemnik z magnetofonem i wszedł do wody. Włożył pojemnik do morza i trzymał tak, dopóki się nie przewinęła cała taśma. W wodach oceanu niosły się głośne dźwięki piosenki Fluke'a - nagranie jego własnego głosu. Ucho ludzkie nie usłyszałoby ich. Lecz może ucho Fluke'a je rozpozna?

Jupe nadal stał na rufie łodzi Slatera. Szybko wcisnął walkie-talkie z powrotem do skrytki.

Constance płynęła obok Fluke'a. Od łodzi dzieliło ich jakieś dwadzieścia jardów. Slater wciąż krzyczał, żeby oddała mu skrzynkę.

Jupe uniósł rękę, dając dziewczynie znak, że udało mu się połączyć z Bobem. Constance odmachnęła mu. Zrozumiała. Poklepała Fluke'a po głowie i oboje zanurkowali.

Slater wyprostował się.

- Co jest grane? - wrzasnął. Dopadł kokpitu i odepchnął Pete'a od steru. Chwycił koło sterowe i pokierował łodzią w miejsce, gdzie zniknęła Constance z Flukiem. Prawie tam dopływał, gdy głowa Constance znów ukazała się na powierzchni. Slater zatrzymał koło niej łódź i oddał ster Pete'owi.

- Trzymaj łódź w tej pozycji - krzyknął do Drugiego Detektywa, biegnąc do burty.

- Gdzie skrzynka? - wrzasnął do Constance.

Nie odpowiedziała. Uniosła rękę z kamerą i reflektorem. Drugą ręką chwyciła balustradę i wspięła się na pokład.

- Gdzie jest wieloryb?

Nadal nie odpowiadała. Zdjęła maskę i pojemnik z tlenem.

- Gdzie on jest? - gorączkował się Slater, rozglądając się po morzu. - Co się z nim stało? Dokąd popłynął?

Constance wzruszyła ramionami.

- Wiem tyle, co pan, panie Slater.

- Co to ma znaczyć? - Slater odwrócił się do Jupe'a. - Daj mi lornetkę.

Kiedy ją dostał, rozejrzał się po oceanie. Ani śladu Fluke'a. Najwyraźniej płynął pod wodą.

- Wieloryby potrafią być nieobliczalne - odezwała się Constance. Slater stał odwrócony do niej tyłem. Za jego plecami puściła do Jupe'a oko. - Wydają się takie oswojone, takie zaprzyjaźnione i nagle uciekają na wolność i to bez pożegnania.

Slater opuścił lornetkę.

- On ma moją skrzynkę! - krzyknął. - Przywiązałaś mu ją do głowy. - Spojrzał na Constance podejrzliwie. - Dlaczego to zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Nie miałam wyboru. Tylko w ten sposób mogłam ją wydobyć na powierzchnię. Musi pan przyznać, że Fluke spisał się doskonale. Wpłynął do samej kajuty, a do tego jeszcze pod koję. Przytrzymał wargami wieszak i udało mu się wsunąć go pod uchwyt skrzynki. Dzięki temu wyciągnął ją z kajuty. Potem owinęłam ją linką i zaczęłam płynąć na powierzchnię...

- Ale czemu nie przyłynęłaś z nią do łodzi?

- Panie Slater, proszę mi nie przerywać. Zeszłam na bardzo dużą głębokość. Nie dałabym rady wypłynąć z takim obciążeniem...

- Ależ ona nie była wcale taka ciężka. W środku były jedynie...

- Prosiłam, żeby mi pan nie przerywał - powiedziała ostro Constance, opierając ręce na biodrach. - Tylko w jeden sposób mogłam sobie poradzić. Zdjąć kamerę i reflektor z głowy Fluke'a i zamiast nich przywiązać mu tę ciężką metalową skrzynkę z kalkulatorami.

Sięgnęła po ręcznik wiszący na poręczy i zaczęła nim wycierać swoje ciemne, puszyste włosy.

- Przykro mi, panie Slater, ale ja też na tym straciłam. Połowa tych kalkulatorów należała do mojego ojca. Zniknięcie Fluke'a naraziło nas na takie same straty.

- Odpłynął - powtórzył Slater z gorzką rezygnacją. Znow rozejrzał się przez lornetkę. - Dokąd mógł popłynąć ten głupi, niewdzięczny zwierzak? Gdzie on się podział?

Constance i Pierwszy Detektyw wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- A ty jak sądzisz, Jupe? - zapytała dziewczyna.

- To jedynie hipoteza. - Umysł Jupe'a pracował pełną parą. Fluke miał nad nimi co najmniej piętnastominutową przewagę. Nawet przy największej prędkości Slater nie mógłby go dogonić. Bob został całkiem sam w zatoczce. Być może będzie mu potrzebna pomoc.

- To tylko hipoteza - powtórzył Jupe. - Lecz całkiem możliwe, iż Fluke wrócił do zatoczki. Tam, gdzie wpuściliśmy go do wody dziś rano.

- Czemu miałyby to robić? - Slater spojrzał na niego podejrzliwie.

- Może kierował nim instynkt powrotu do domu - rzucił Jupe z niewinną miną. - Mówiłem panu, że to jedynie hipoteza.

- Mmmm... - Slater popatrzył na brzeg. - OK. Przejmujesz stery, chłopcze, i wracamy do zatoczki.

Przeszedł szybko do części dziobowej. Jupe przejął ster od Pete'a.

- Cała naprzód! - komenderował Slater, nie odrywając lornetki od oczu.

- Tak jest, cała naprzód - potwierdził Pierwszy Detektyw. Jupe nie miał nic przeciwko pełnej prędkości. Na powrocie do zatoczki zależało mu tak samo jak Slaterowi. Nie mógł się doczekać, żeby sprawdzić, czy ich plan się powiódł. Czy Fluke zareagował na swój głos i wrócił do zatoczki ze skrzynką na głowie?

Jeśli tak, to Jupe musi jak najprędzej zajrzeć do tej skrzynki!

Rozdział 16

Twarz olbrzyma bez twarzy

Bob spojrział na swój wodoodporny zegarek i zobaczył, że upłynęło dwadzieścia pięć minut. Od dwudziestu pięciu minut rozbrzmiewała w wodzie piosenka Fluke'a. Jeszcze pięć i skończy się taśma. Będzie musiał ją przewinąć i puścić od nowa.

Trzymając magnetofon pod wodą, starał się poruszać. Robił przysiady, przestępował z nogi na nogę, przebierał palcami. Ocean był tak zimny, że Bob zaczął się obawiać, iż nogi mu zamarzną, jeśli będzie stał w miejscu.

Nagle wyprostował się. Może tylko ponosiła go wyobraźnia, lecz wydało mu się, że o kilkaset jardów od brzegu dostrzega na gładkiej powierzchni oceanu jakieś zawirowania. Wrażenie powtórzyło się. Tym razem Bob wiedział, że to nie złudzenie. Z emocji zapomniał nawet o poruszaniu nogami. Stał jak wryty, wpatrując się w ocean.

Najpierw zobaczył metalową skrzynkę. Wynurzyła się z wody zaledwie o kilka stóp od Boba. Chwilę później ukazała się na powierzchni głowa Fluke'a. Podpłynął do Boba i otarł się nosem o jego kolana.

- Fluke. Fluke.

Bob nie zwracał już uwagi na lodowatą wodę. Wbiegł głębiej, by przywitać się z wielorybem. Głaskał go, poklepywał i przytulał.

- Fluke, udało ci się.

Zdawało się, że Fluke też ucieszył się na jego widok. Wyprostował się, jakby stał na ogonie, i patrzył na Boba wyczekująco.

- Fluke, tak mi przykro. - Bob wyłączył magnetofon. - Zrobiliśmy ci kawał.

Zastanawiał się, co też mały wieloryb spodziewał się znaleźć u kresu podróży. Innego wieloryba? A może rozpoznał swój głos? Może odczuwał to samo co Bob, kiedy słuchał nagrania swojego głosu na taśmie magnetofonowej?

- Nie przejmuj się, Fluke. Najpierw zdejmę z ciebie ten ciężar, a potem coś ode mnie dostaniesz.

Rano Constance przywiozła ze sobą pojemnik świeżych ryb. Bob w kilka sekund oswobodził Fluke'a z płóciennej uzdy. Metalowa skrzynka okazała się zdumiewająco lekka.

- Fluke, poczekaj tu. Zaraz wracam z twoim obiadem.

Odwrócił się i ruszył na brzeg, przyciskając do siebie metalową skrzynkę. Już prawie wychodził na suchy ląd, gdy wtem dostrzegł na plaży mężczyznę, który wyraźnie na niego

czekał.

Był wysoki i miał na sobie wiatrówkę. Rondo kapelusza opuścił nisko na oczy. Najbardziej jednak zwracały uwagę jego potężne ramiona i grube ręce.

Zbliżając się do mężczyzny, Bob zauważył także, iż pod kapeluszem brakuje twarzy. Bob nie mógł jej dojrzeć, ponieważ mężczyzna nałożył na głowę nylonową pończochę.

- No, dobra - odezwał się. - Oddawaj skrzynkę.

Chociaż Bob słyszał ten głos tylko raz, przez telefon w Kwaterze Głównej, rozpoznał go od razu. Mężczyzna nie powiedział "skrzynkę", lecz "skrzy-y-ynkę". Bob widział go też tylko raz, kiedy leżał rozciągnięty na podłodze, podczas gdy Pete związywał mu nogi. Potem Trzej Detektywi rozjechali się w cztery strony świata.

- Dawaj ją.

Mężczyzna zbliżał się coraz szybciej. Dzielili ich tylko jardy.

Bob nie odezwał się. Cóż mógł powiedzieć w tej sytuacji? Przyciskając skrzynkę, zaczął się cofać.

- Oddawaj skrzy-y-ynkę.

Mężczyzna był coraz bliżej. Woda sięgała Bobowi po kolana. Kiedy olbrzym wyciągnął rękę próbując go złapać, chłopiec cofnął się jeszcze bardziej. Niestety, zrobił to za wolno i palce napastnika zacisnęły się na uchwycie skrzynki. Próbował ją wyszarpnąć Bobowi.

Walka z przeciwnikiem nie miała sensu. Bob nigdy nie widział tak rozbudowanych bicepsów. Jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to trzymać skrzynkę z całych sił i cofać się dalej w morze. Woda sięgała mu już do pasa. Wiedział, że za chwilę olbrzym przytopi go potężną ręką i zmusi do wypuszczenia metalowej skrzynki. Kiedy poczuł, że zaczyna tracić równowagę, napastnik nagle cofnął się. A zaraz potem wyleciał w górę, jakby podniósł go wielki dźwig. Wznosił się coraz wyżej i wyżej, a w pewnej chwili pofrunął wielkim łukiem i z głośnym pluskiem wpadł do wody. Rozpaczliwie próbował utrzymać się na powierzchni, ale głowa Fluke'a znów znalazła się pod nim i olbrzym ponownie wyleciał w górę. Fluke bawił się nim i podbijał go jak piłkę plażową, coraz dalej w morze.

Mężczyzna zaczął wzywać pomocy. Próbował utrzymać głowę nad wodą i rzucał się rozpaczliwie, żeby nie utonąć.

Fluke zanurkował, szykując się do kolejnego podrzutu. Słyszając krzyk, zatrzymał się. Uniósł głowę, popatrzył na szarpiącego się w wodzie olbrzyma, a następnie zaczął go delikatnie popychać do brzegu.

Wielkolud nadal tonął. Leżał na plecach, przebierając gwałtownie rękami i nogami,

ale co chwila zanurzał się pod wodę, jakby jakiś ciężar ściągał go na dno.

Jeszcze przed chwilą Bob uważał tego człowieka za swojego najgorszego wroga. Teraz jednak zrobiło mu się go żal. Nie potrafił stać spokojnie i patrzeć, jak tamten tonie.

Wrócił pędem na plażę, ukrył skrzynkę za skałami i ponownie wskoczył do wody. Kiedy dopłynął do olbrzyma, ten zanurzył się już niemal całkowicie. Na powierzchni morza widać było jedynie część jego zamaskowanej twarzy. Fluke pływał w pobliżu i patrzył zdumionym okiem na to, co się działo.

- Fluke, podpłyn pod niego - nakazał Bob. - Ale żadnych podrzutów. Postaraj się utrzymać go na powierzchni.

Trudno powiedzieć, czy Fluke rozumiał ludzki język. W każdym razie polecenie Boba wykonał. Zanurkował i po chwili głowa i potężne ramiona mężczyzny znalazły się nad wodą. Wielkolud nadal walczył. Tym razem ze skafandrem. Próbował go rozpiąć i zrzucić z siebie. Bob znalazł końcówkę zamka błyskawicznego i pociągnął za nią. Następnie szarpnął za rękawy i uwolnił mężczyznę z kurtki. Ze zdumieniem spoglądał to na skafander, to na pierś olbrzyma. Teraz zrozumiał, dlaczego mężczyzna tonął, jakby jakaś siła ciągnęła go w dół. Wnętrze skafandra wypchane było gąbką, która nasiąknęła wodą, zwiększając przy tym swoją objętość. Nic dziwnego, że olbrzym nie mógł sobie poradzić z takim obciążeniem!

Bez wypchanego skafandra mężczyzna nie przypominał już olbrzyma. Chudy i słaby, wyglądał zaiste żałośnie. Bob i Fluke wzięli go między siebie i podholowali do brzegu. Ostatni odcinek Bob musiał pokonać sam, ponieważ dla Fluke'a było zbyt płytko. Chwytał mężczyznę za kostki i wyciągnął na piach.

Nieznajomy leżał na wznak i ciężko dyszał. Chwilami wyglądał, jakby tracił przytomność. Jego kapelusz został w wodzie, ale na twarzy wciąż miał nylonową pończochę. Bob zaczął ją ściągać. Najpierw ukazał się długi, szczupły nos, zapadnięte policzki i wreszcie dziwna fałda pod prawym okiem, przypominająca bliznę.

Bob patrzył na twarz Paula Donnera.

Rozdział 17

Zawartość metalowej skrzynki

- Jest! - krzyknął Slater podniecony. - Jest ten wasz wielo-o-oryb!

Opuścił lornetkę.

- Miałeś rację, chłopcze. Popłynął do zatoczki - wszedł do kokpitu i przejął od Jupe'a koło sterowe.

Constance też zauważyła Fluke'a. Kiedy Slater wpłynął do zatoczki, przechyliła się przez burtę i zawołała:

- Fluke! Fluke!

Usłyszał od razu. Uniósł głowę i podpłynął do łodzi, żeby się przywitać.

- Skrzynka! Zgubił skrzynkę! - wrzasnął Slater na wpół odwrócony od steru.

Jupe obserwował brzeg. Zauważył mężczyznę rozciągniętego na piasku. Bob, który stał obok, pomachał Jupe'owi ręką i utworzył kółko z dwóch palców na znak, że wszystko w porządku.

- Wiesz, Pete, chyba powinniśmy jak najszybciej znaleźć się na brzegu. Zanim Slater zorientuje się, co zaszło.

- Dobry pomysł - Pete nadal miał na sobie kąpielówki. Ześliznął się do wody i szybko popłynął do brzegu. Jupe ściągnął koszulę i poszedł w jego ślady.

- Paul Donner - powiedział Jupe, patrząc osłupiały na rozciągniętego na piasku mężczyznę, który z trudem łapał powietrze. - Co się dzieje, Bob? Skąd on się tu wziął?

Bob szybko opowiedział o tym, co się wydarzyło w zatoczce. Jak odwiązał skrzynkę z głowy Fluke'a, został zaatakowany przez olbrzyma, jak Fluke przybył mu na ratunek. I o tym, jak okazało się, że olbrzym wcale nie jest taki olbrzymi, lecz chudy i wysoki. Człowiek w skafandrze okazał się Paulem Donnerem.

- Prawie się utopił, ale zrobiłem mu sztuczne oddychanie i teraz już powinno być w porządku. Jest tylko bardzo osłabiony.

Jupe obejrzał się przez ramię. Slater zakotwiczył łódź blisko plaży i z gniewną miną zmierzał po wodzie w ich kierunku. Łysina mu lśniła.

- Co zrobiłeś z metalową skrzynką? - wyszeptał Jupe do Boba.

- Schowałem ją...

Bob nie dokończył, ponieważ Slater stanął wreszcie na suchym lądzie i podszedł wprost do niego.

- No, dobra, mały - Slater nawet nie spojrzał na Paula Donnera. Wcale nie wydawał się zaskoczony jego widokiem. Całą uwagę skupił na Bobie.

- Dobra, mały - powtórzył. - Oddaj skrzynkę.

- Jaką skrzynkę? - odparł Bob z niewinną miną. Jednocześnie szturchnął w bok Pete'a. Przydałby im się teraz jeden z latających modeli Drugiego Detektywa, pomyślał. Potem rozjechaliby się na rowerach w cztery strony świata.

- Tylko spokojnie - ostrzegł Slater, jakby czytał w myślach Boba. - Żadnych sztuczek, mały.

Slater był zmoczony do pasa, ale jego krótka kurtka pozostała prawie sucha. Włożył pod nią rękę i kiedy ją wyjął, trzymał w niej mały pistolet wycelowany w Boba.

- Metalowa skrzy-y-yinka - powiedział. - Ta, z którą przyplłynął wieloryb. Muszę ją do-o-ostać.

Bob spojrzał bezradnie na Jupe'a, a Jupe na pistolet w ręce Slatera. Choć Pierwszy Detektyw nigdy nie strzelał z prawdziwej broni, wiedział o niej sporo. Pistolet Slatera miał bardzo krótką lufę, więc jego zasięg nie mógł przekraczać dziesięciu jardów. Niestety znajdował się o niecałą stopę od piersi Boba.

- OK, Bob. Lepiej mu ją oddaj.

Bob skinął głową. W tym wypadku zgadzał się z Jupe'em całkowicie. Ruszył do skał, za którymi schował skrzynkę. Slater szedł tuż za nim. Bob schylił się po skrzynkę. Kiedy Slater wyciągnął po nią rękę, rozległ się krzyk:

- Nie-e-e!

Bob zobaczył Paula Donnera, któremu udało się stanąć na nogi i biegł teraz plażą, zataczając się. Slater też odwrócił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jupe korzystając z tego, kiwnął głową do Boba i wyciągnął rękę. Bob rzucił mu skrzynkę.

- Ty oszuście! - wrzasnął Paul Donner do Slatera. - Ty zdrajco! Szantażysto!

Dopał go i próbował zacisnąć mu rękę na gardle. Slater opuścił pistolet, broniąc się przed napastnikiem. Paul Donner przewrócił się na wznak i pociągnął Slatera za sobą.

Jupe stał ze skrzynką w ramionach. Bob znajdował się kilka jardów dalej. Constance, która pływała z Flukiem, też usłyszała krzyki. Teraz zmierzała co sił do brzegu.

Jupe odrzucił skrzynkę Pete'owi.

Slater podniósł się powoli na nogi. Donner leżał na piachu. Siły całkiem go opuściły. Wreszcie chudzielec z trudem uklęknął.

Pete złapał skrzynkę.

Zauważył Constance podpływającą do brzegu. Zobaczył też, że Slater spojrzał

najpierw na Boba, a potem na Jupe'a, szukając wzrokiem skrzynki. Pete nie czekał, aż wzrok Slatera spocznie na nim. Odwrócił się i puścił, pędem w stronę oceanu.

Slater popędził za nim.

Pete wbiegł do wody aż po pas. Slater był tuż-tuż.

- Stój! - krzyknął.

Pete nie widział go. Poczł jedynie na plecach lufę pistoletu. Jeszcze nigdy nie przeżył tak nieprzyjemnego doznania. Zatrzymał się.

- Tutaj! - Constance wymachiwała rękami nad wodą. - Pete, tutaj!

Pete zawahał się. Na plecach czuł lufę pistoletu. W ręce trzymał lekką metalową kasetkę. Przed sobą widział wyciągnięte ramiona Constance.

Pete często grał w koszykówkę. Był w niej całkiem dobry. Nagle poczuł się tak, jak podczas meczu. Na moment zapomniał o istnieniu Slatera i o jego pistolecie. Trzymał piłkę, a Constance wołała, by ją rzucił.

Ugiął kolana i ręce, po czym prostując raptownie całe ciało, wyrzucił przed siebie skrzynkę, która miękkim łukiem poszybowała wprost w ramiona Constance.

Pete dał nurka w morze. Starał się zostać pod wodą jak najdłużej. Kiedy już poczuł, że musi odetchnąć, wolno wychylił głowę na powierzchnię. Jakies dwadzieścia jardów dalej zobaczył Constance. Płynęła szybko, obserwując jednocześnie brzeg. Fluke trzymał się jej boku. W paszczy miał metalową skrzynkę.

Wciąż bojąc się wychylić z nadto z wody, Pete popatrzył w stronę plaży. Slater opuścił pistolet i stał nad brzegiem oceanu, z nisko pochyloną głową. Przypominał byka, który po ataku stracił na chwilę impet i parszając, czeka na kolejny krok przeciwnika.

Jupe i Bob stali naprzeciw niego. Jupe coś mówił. Pete podpłynął do brzegu i dołączył do przyjaciół.

- Panie Slater, wcale nie chcemy pana obrabować – powiedział Jupe. - Uzgodniliśmy wszyscy, że połowa zawartości skrzynki jest pańska. Próbuujemy jedynie chronić interesy Constance i jej ojca. Zamierzamy dopilnować, żeby każda strona dostała po równo.

Slater nie odzywał się przez dłuższy czas. Oddychał chrapliwie przez nos.

- A więc co proponujesz, chłopcze? - zapytał wreszcie.

- Proponuję, żeby zabrać skrzynkę do miasta i pokazać komendantowi Reynoldsowi. Jest szefem policji w Rocky Beach. To bardzo sprawiedliwy człowiek i nie dopuści do złamania prawa przez żadną ze stron. Pan mu opowie swoją wersję, a Constance - wersję ojca. Wtedy komendant Reynolds zadecyduje o podziale zawartości skrzynki.

Zapadła długa cisza. Slater spojrział w morze. Constance wciąż pływała obok Fluke'a.

Slater nie miał najmniejszych szans, żeby odebrać wielorybowi skrzynkę bez jej zgody.

- OK - skinął głową z ponurą miną. - Wracajmy wszyscy na łódź. Popłyniemy do portu w Rocky Beach. A potem pójdziemy do waszego komendanta Reynoldsa. Pasuje?

Jupe potwierdził. Slater schował pistolet, ale w każdej chwili mógł go użyć ponownie, zwłaszcza na łodzi. Odczekałby na właściwy moment i odebrał im skrzynkę wraz z całą zawartością.

- Po co płynąć taki kawał? - odezwał się Jupe. - Przecież można stąd zadzwonić do komendanta Reynoldsa. Przyśle po nas radiowóz.

- Zadzwonić? W jaki sposób? - prychnął Slater. - Czy widzisz tu jakiś automat, chłopcze? Najbliższa budka...

- Najbliższa budka jest niecałą milę stąd, w Clifftop Cafe. Bob może podjechać tam na rowerze w parę minut i zadzwonić do komendanta.

- Już się robi - potwierdził Bob.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, aby zostawić pistolet na łodzi, panie Slater - podjął Jupe - to Constance poprosi Fluke'a o oddanie skrzynki i wszyscy razem poczekamy na drodze na przyjazd policji. Nie sądzi pan, że to dobry pomysł?

Slater był najwyraźniej innego zdania. Jego mina świadczyła, że uważał pomysł Jupe'a za całkiem poroniony. Niemniej jednak skinął głową potwierdzająco. Nie miał, prawdę mówiąc, innego wyjścia.

Bob pojechał zadzwonić do komendanta Reynoldsa. Constance nakarmiła Fluke'a, a Jupe z Pete'em dopilnowali, żeby Slater zamknął pistolet w schowku na łodzi. Constance pożegnała się z Flukiem. Obiecała mu, że niedługo wróci. Mały wieloryb był wyraźnie zaniepokojony jej odejściem. Podpłynął do plaży jak najbliżej i patrzył za odchodzącą dziewczyną.

Cała czwórka ruszyła drogą w stronę autostrady. Constance niosła metalową skrzynkę. Nagle Jupe przypomniał sobie o Paulu Donnerze.

Donner zniknął.

Bob wrócił szybko, a zaraz za nim pojawił się wóz policyjny. Piętnaście minut później wchodzili do biura komendanta Reynoldsa.

Komendant wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Lecz Jupe wcale mu się nie dziwił. Włożyli, co prawda, koszulki i tenisówki, a Constance sukienkę przyniesioną z łodzi przez Pete'a, ale przedstawiali zaiste żaloszny widok. Wyglądali tak, jakby przed chwilą wyszli z wody.

- Co to wszystko znaczy, Jupe? - zapytał komendant, kiedy tylko znalazł dla

wszystkich krzesła.

Znał Jupe'a od lat. Parę razy uważał, że Trzej Detektywi posunęli się za daleko w swoich dochodzeniach. W końcu byli tylko dziećmi i komendant nie pochwalał takiego nadstawiania karku. Szanował jednak intelekt Jupe'a. Kilkakrotnie pomysły Pierwszego Detektywa przyczyniły się do rozwiązania spraw prowadzonych przez policję.

Jupe popatrzył na Slatera.

- To jest Oskar Slater - przedstawił go. - Chyba będzie najlepiej, jeśli sam opowie panu o wszystkim.

- Bardzo proszę, panie Slater.

Slater wstał. Wyjął portfel i pokazał komendantowi swój dowód. Ten zlecił jednemu z policjantów sprawdzenie go. Slater opowiedział pokrótce całą historię. Przyznał się szczerze do przemytniczej wyprawy z Carmelem. Opowiedział o sztormie, o zatonięciu łodzi i odzyskaniu skrzynki.

- Mój młody przyjaciel, Jupiter Jones, uznał, że powinniśmy otworzyć skrzynkę w pańskim biurze. Dzięki temu nie będzie później wątpliwości, jak podzielić równo jej zawartość pomiędzy mnie i ojca panny Carmel. Muszę przyznać, że również uważam ten pomysł za bardzo dobry.

Wyjął z kieszeni kluczyk i wręczył go Reynoldsowi.

- Constance, możesz podać panu skrzynkę?

Jupe przyglądał się z niekłamany podziwem, jak Slater odgrywał rolę uczciwego obywatela, który pragnie, by sprawiedliwości stało się zadość.

Constance postawiła skrzynkę na biurku komendanta. Kiedy ją otworzył, na twarzy dziewczyny odmalowało się zdumienie. Komendant też wydał się zaskoczony. Jupe wstał, podobnie jak Pete i Bob. Podeszli wszyscy do biurka.

Jedynie Pierwszy Detektyw nie wydawał się zdumiony. Skrzynka pełna była nowiutkich dziesięciodolarówek. Leżały w równych plikach owiniętych gumkami. Jupe obliczył szybko, iż w skrzynce musiało być około miliona dolarów, zakładając, że grubość jednego pliku wynosiła jeden cal.

- Jak pan widzi, komendancie - zaczął gładko Slater - oto rezultat mojej wyprawy do La Paz. Część tych pieniędzy... - przerwał, ponieważ zadzwonił telefon. Komendant Reynolds odebrał go i słuchał przez chwilę. Wreszcie powiedział:

- Pańskie dane są w porządku, Slater. Nie jest pan nigdzie notowany. Żadnych listów gończych nie rozesłano za panem. Proszę kontynuować. Mówił pan o części pieniędzy.

- Tak, komendancie. Część z nich pochodzi ze sprzedaży kalkulatorów w La Paz.

Reszta należy do mnie. Sprzedałem kawałek ziemi wraz z małym hotelem. A teraz niech panna Carmel powie łaskawie, ile według niej należy się jej ojcu, i zakończmy tę sprawę raz na zawsze.

Komendant Reynolds pokiwał głową zamyślony.

- Nie widzę niczego złego w pańskiej propozycji pod warunkiem, że ureguluje pan sprawy z urzędem podatkowym. - Popatrzył na Constance. - Jaka część pieniędzy należy do pani ojca, panno Carmel?

Constance uśmiechnęła się.

- Nie mam pojęcia. Chciałabym jedynie zapłacić rachunki za szpital. - Spojrzała na Slatera. - Dziesięć tysięcy dolarów i jesteśmy kwita.

- Zgoda - Slater schylił się po skrzynkę. - Jutro wybierzemy się razem do banku i dam pani czek na pełną sumę.

Slater zamknął wieko skrzynki. Jeszcze chwila i wyjdzie z biura ze wszystkimi pieniędzmi. Jupe podszedł do Reynoldsa.

- Komendancie - zaczął, skubiąc dolną wargę - nie chciałbym się wtrącać, ale czy pozwoli pan na jedną tylko uwagę?

- O co chodzi, Jupe? - Komendant podał Slaterowi kluczyk do skrzynki, żeby ją zamknął przed oddaniem do przechowania w komisariacie.

- Czy mógłby pan rzucić okiem na numery seryjne banknotów?

- Numery seryjne, Jupe?

- Sądzę, iż bez trudu zauważy pan, że wiele z nich się powtarza.

Jupe podniósł wieko i wyjął dwa pliki szeleszczących dziesięciodolarówek.

- A jeśli wezwie pan specjalistę z ministerstwa skarbu, to niechybnie dowie się pan, że wszystkie banknoty są fałszywe!

Rozdział 18

Kolejna wizyta u Alfreda Hitchcocka

- Policja szybko odnalazła Paula Donnera - opowiadał Jupe. - Próbował uciec do Meksyku swoją zdezelowaną limuzyną, ale odmówiła posłuszeństwa koło San Diego. Po aresztowaniu do wszystkiego się przyznał.

Trzej Detektywi siedzieli wokół stolika w ogromnym salonie Alfreda Hitchcocka. Przyszli, by zdać mu pełny raport o sprawie porwanego wieloryba, jak nazwał ją Bob w swoich notatkach.

Pan Hitchcock siedział wygodnie w fotelu na biegunach, słuchał z uwagą i od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie.

- Paul Donner przyznał się do fałszowania pieniędzy?

Bob smutno pokiwał głową. Żał mu było wielkiego chudzielca, choć to on właśnie uszkodził hamulce w samochodzie Constance i robił wszystko, żeby uniemożliwić wydobycie skrzynki.

- Zmusił go do tego Oskar Slater - wyjaśnił. - Szantażował go.

- Szantażował? Ale czym?

Alfred Hitchcock rzucił okiem w stronę kuchni, gdzie Hoang Van Don przygotowywał lunch. Ukradkiem wyjął z kieszeni torebkę cukierków i poczęstował nimi detektywów.

- Nie mam silnej woli - przyznał, wkładając do ust karmelka. - Wciąż jestem głodny.

- Czy Don nadal karmi pana brązowym ryżem? - zapytał Pete ze współczuciem.

- Jest jeszcze gorzej, Pete. Zresztą... przekonacie się sami. Przepraszam, Bob. Opowiadaj. Oskar Slater szantażował Paula Donnera, zmuszając go do fałszowania pieniędzy. Jak do tego doszło?

- Pracowali razem w Europie. Paul Donner był bardzo zdolnym grawerem i on zajął się podrabianiem i drukowaniem. Do Slatera należała dystrybucja. Zorganizował szajkę, która rozprowadzała fałszywe banknoty po całym kontynencie.

- Aż wreszcie zajęła się nimi policja? - dokończył Alfred Hitchcock.

- Oskara Slatera nigdy nie udało się złapać. Zniknął bez śladu, zabierając większą część zysków. Policja francuska wpadła natomiast na trop Paula Donnera. Wydali nakaz aresztowania i pewnie poszedłby za kratki na całe lata, ale jakimś sposobem udało mu się zbiec do Meksyku.

- Postanowił żyć uczciwie - wtrącił Bob. - Żadnych fałszerstw. I rzeczywiście dotrzymał postanowienia. Prowadził jakąś małą drukarnię w La Paz... Aż do dnia, kiedy pojawił się tam Oskar Slater.

- I oczywiście Slater wiedział, że Donner był w tym czasie poszukiwany przez policję francuską - dodał Alfred Hitchcock. - Wiedział również, że jeśli Francuzi aresztują Donnera, przekażą go natychmiast Amerykanom. - Pan Hitchcock zjadł kolejnego karmelka. - Slater wykorzystał tę sytuację i zmusił Donnera, by znów zajął się procederem fałszowania pieniędzy. - Reżyser milczał chwilę, ssąc cukierka. - Jupe, jak udało ci się rozpoznać, że te banknoty są podrobione?

- Wpadłem na to dzięki szramie pod okiem Donnera. Zastanawiałem się nad tym, kto mógłby używać lupy jubilerskiej, i wtedy pomyślałem, że być może Donner jest grawerem.

- Bardzo sprytnie, Jupe - uśmiechnął się pan Hitchcock. - Teraz staje się jasne, że kiedy łódź z podrobionymi banknotami zatonięła, Paul Donner odetchnął z ulgą. Czy poszedłeś tym właśnie tropem, Jupe?

- Mniej więcej - przyznał Pierwszy Detektyw skromnie. - Zastanawiałem się, czemu Slaterowi aż tak bardzo zależało na odzyskaniu skrzynki? I dlaczego ktoś próbował wszelkimi sposobami powstrzymać go przed tym? - Jupe zaczął skubać wargę. - I wtedy uświadomiłem sobie, że w całym procederze podrabiania i rozprowadzania banknotów największe ryzyko ponoszą zawsze fałszerze. W pewnym sensie są jak malarze. Fałszerze największej klasy, mimo woli, tworzą własny styl. To tak, jakby podpisywali się pod swoim dziełem. - Alfred Hitchcock podsunął mu kolejnego cukierka. - Donner wiedział, że jeśli podrobione dolary pojawią się w bankach, agenci skarbowi natychmiast je rozpoznają i zaczną go poszukiwać razem z francuską policją. I prędzej czy później któryś z nich trafi wreszcie do La Paz.

Z kuchni dobiegł odgłos siekania nożem. Alfred Hitchcock pospiesznie schował do kieszeni torebkę z cukierkami.

- Dodałeś dwa do dwóch i doszedłeś do wniosku, że Donner musi być tą osobą, która stara się uniemożliwić wydobycie skrzynki? - zapytał Jupe'a.

- Przez długi czas - Jupe'owi, mimo starań, nie udało się zachować skromnej miny - dodawałem dwa do dwóch i wychodziło mi trzy. Miałem trzech podejrzanych: Oskara Slatera, Paula Donnera i człowieka, który zaoferował nam przez telefon sto dolarów za sprowadzenie Fluke'a z powrotem do oceanu.

Jupe spojrzał na Boba.

- Dopiero kiedy Bob zdjął maskę niedoszłemu topielcowi, zrozumiałem, że podejrzani numer dwa i trzy to jedna osoba.

- Czy kiedy Paul Donner dzwonił do ciebie proponując nagrodę - wtrącił Alfred Hitchcock - i tak dziwnie wymawiał niektóre wyrazy, na przykład “wielo-o-ry-y-b” czy “zato-o-oka”, czy wtedy nie przyszło ci do głowy, że specjalnie naśladuje sposób mówienia Slatera?

Jupe pokręcił przecząco głową.

- Wydaje mi się, że nie, proszę pana. Sądzę, że po prostu próbował zmienić swój głos. Podobnie jak aktorzy...

Jupe sporo wiedział o aktorstwie. Jako małe dziecko występował na scenie, choć nie lubił wracać myślami do tego okresu. Miał nawet pseudonim sceniczny - Mały Tłuścioszek.

- Jeśli rola wymaga od aktora zmiany głosu - podjął - najprościej jest naśladować kogoś innego. Paul Donner mówił w sposób bardzo charakterystyczny, jako że wiele czasu spędził w Europie. Żeby to ukryć, musiał podszyć się pod kogoś o równie charakterystycznym sposobie mówienia, na przykład Slatera.

Alfred Hitchcock sięgnął do kieszeni po kolejnego cukierka, ale zmienił zamiar.

- W jaki sposób Paul Donner wpadł w ogóle na wasz trop? - zapytał. - Kiedy spotkaliście go w San Pedro, przedstawił się jako kapitan Carmel i już wtedy wiedział, że jesteście Trzema Detektywami.

- Paul Donner był jednym z mężczyzn, którzy obserwowali nas z łodzi, kiedy ratowaliśmy wieloryba - wyjaśnił Jupe. - Wtedy udawał jeszcze przed Slaterem, że z nim współpracuje. Kiedy Slater opowiedział mu o planach odnalezienia wraku łodzi przy pomocy Constance i Fluke'a, Donner postanowił pojechać następnego dnia do “Świata Oceanu”. Pewnie próbował znaleźć jakiś sposób na powstrzymanie Slatera. I wtedy nas zobaczył. Rozpoznał w nas trzech chłopców z plaży, którzy ratowali wieloryba. Zauważył, jak wchodzimy do biura Constance. Później znalazł na jej biurku naszą wizytówkę i zadzwonił, żeby zaoferować nam sto dolarów za sprowadzenie Fluke'a do oceanu. Dzięki temu Slater nie mógłby odnaleźć łodzi.

Alfred Hitchcock zastanawiał się chwilę. Wreszcie skinął głową.

- Ale w jakim celu Donner włamywał się do biura Diega Carmela w San Pedro? - zapytał. - Przy jego zdolnościach dorobienie klucza do drzwi było przecież pestką. Powiedziałaś, że myszkował w nim? Czego tam szukał?

- Sądzę, że chciał obejrzeć sprzęt do nurkowania - odparł Pierwszy Detektyw. - Już wtedy przyszło mu do głowy, że uszkodzenie pojemników z tlenem powstrzyma całą ekspedycję. Kiedy później Constance zdecydowała się użyć sprzętu ze “Świata Oceanu”, Donner musiał dostać się na pokład łodzi Slatera, żeby uszkodzić ciśnieniomierz.

- Bob, kiedy uświadomiłeś sobie, że... - powiedział pan Hitchcock. - Jak ty go nazywasz w swoich notatkach?

- Olbrzym w masce. Później, oczywiście, okazało się, że wcale nie jest olbrzymem. To tylko wypchana gąbką wiatrówka sprawiała takie wrażenie - odparł Bob.

- A więc, kiedy uświadomiłeś sobie, że zamaskowany olbrzym i Paul Donner to jedna osoba, wszystko zaczęło się układać w logiczną całość...

Pan Hitchcock przerwał na widok Dona. Wietnamski służący wniósł olbrzymią drewnianą misę. Postawił ją z dumą na środku stołu.

- Lunch gotowy - oświadczył. - Bardzo zdrowe jedzenie. Tylko naturalne składniki. Żadnych konserwantów.

Pete zajrzał do misy. Zobaczył kawałki zielonej sałaty i ogórka. Ale głównym składnikiem tej sałatki była dziwna różowa substancja pokrojona w cienkie paski.

- Co to jest to różowe? - zapytał.

- Ryba - odparł z dumą Don. - Surowa ryba.

- Surowa? - Pete starał się ukryć rozczarowanie. - Czy to znaczy, że nie jest... nie jest ugotowana?

- Gotowanie bardzo złe - wyjaśnił Wietnamczyk. - Bardzo niezdrowe. Niszczy wszystkie witaminy.

- Ale przecież brązowy ryż był gotowany - upierał się Pete. - Podobno telewizyjny guru powiedział...

- To był zły guru - Don potrząsnął smutnie głową. - Jego show odwołany. Teraz oglądam program popołudniowy z nowym guru. Ten o wiele lepszy, zwłaszcza dla kucharzy. Twierdzi, że kucharz nie powinien gotować. Proszę się częstować.

- Ale nie mamy talerzy - zauważył Bob. - Ani noży i widelców, w ogóle niczego.

- Trzeba jeść palcami. Prosto z misy. Nowy guru mówi, że lepiej wkładać do ust własne palce niż jakieś metalowe przedmioty. Podobnie jest z talerzami. Porcelana też nienaturalna. Drewniane misy o wiele lepsze.

- O wiele lepsze dla zmywających naczynia - wtrącił Alfred Hitchcock. - Nowy guru mówi, że nie powinno się zmywać naczyń.

Wietnamczyk wrócił do kuchni, a pan Hitchcock głęboko westchnął.

- No cóż, sięgajcie do misy - zaprosił chłopców. - Ten ogórek wygląda całkiem nie najgorzej. A na deser mamy jeszcze kilka karmelków.

Detektywi wyławiali z drewnianej misy kawałki ogórka i sałaty, a Alfred Hitchcock wypytywał ich o samopoczucie kapitana Carmela i o to, czy Constance udało się opłacić

zaległe rachunki za jego pobyt w szpitalu.

- Kapitan czuje się dobrze - odparł Bob. - Nie leży już na oddziale intensywnej terapii, a w przyszłym tygodniu wypisują go ze szpitala.

- Z rachunkami też wszystko w porządku - dodał Jupe. - Ludzie z ministerstwa skarbu przyznali Constance nagrodę za odnalezienie fałszywych banknotów i doprowadzenie do aresztowania Slatera i Donnera. No, może nie jest to kwota dziesięciu tysięcy dolarów, ale przynajmniej wypłacona w legalnej walucie.

- Być może Constance uda się też odzyskać trochę pieniędzy od Slatera - powiedział Bob. - W końcu upłynął te kalkulatory w Meksyku i wziął za nie zapłatę...

Przerwał na widok tego, co robił Pete.

- Ty to jesz! - wrzasnął. - Jesz surową rybę!!!

- Jestem głodny - bronił się Pete. - I wcale nie jest taka zła. W gruncie rzeczy ma interesujący smak. - Włożył do ust drugi różowy paseczek. - A poza tym, jest bardzo zdrowa. Dobrze robi na mózg. Spójrzcie na Fluke'a. On nie je niczego innego i jaki jest mądry!

Alfred Hitchcock musiał przyznać, że coś w tym jest. Pozostał jednak przy ogórku i sałacie.

- A właśnie, jak się ma Fluke? - zapytał.

- Świetnie - odparł Jupe. - Na początku długo był smutny. Krążył w pobliżu zatoczki. Constance zaczęła się już obawiać, że nigdy nie przyzwyczai się do oceanu.

- A teraz? Przyzwyczał się w końcu?

- Nie - powiedział Bob. - Constance zrozumiała, że problem leżał w czym innym. Po prostu Fluke zbyt się do niej przywiązał i za bardzo za nią tęsknił.

- Więc zabrała go do "Świata Oceanu" - dodał Jupe. - Fluke wydaje się tam bardzo szczęśliwy. A my wszyscy mamy wolny wstęp do akwarium i możemy go odwiedzać, kiedy tylko mamy ochotę.

Pierwszy Detektyw rzucił spojrzenie w stronę kuchni.

- To mi nasuwa myśl, że jeśli Don mógłby nam dać jakąś torbę na resztki dla psa, to znaczy chciałem powiedzieć dla wieloryba, moglibyśmy dziś po południu zanieść Fluke'owi trochę świeżej ryby!